

SPIS TREŚCI

Zapomniany Inspektor	3
40. rocznica śmierci por. Edwarda Błaszczaka „Grom”	6
Wspomnienie o Karolu Wilhelmie ps. „Czarny”	7
Struktura wiekowa partyzantów poległych w trakcie operacji „Sturmwind II”	11
Mordy i represje dokonane przez Niemców na mieszkańcach wsi Gminy Łukowa <i>Wybrane wypisy z Archiwum Państwowego w Zamościu</i>	12
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacja Jana Krynia	17
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacja Franciszki Szostak	18
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacja Marianny Peć	20
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacja Jana Palinki	21
Zdjęcia dzieci łukowskich z przymusowych robót w Niemczech	23
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacja Stanisława Stańskiego	24
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacja Stefani Gaca	26
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacja Janiny Lachowskiej	27
Dzieci wojny - wspomnienia wysiedlonych. Relacje Marianny i Janiny z domu Mach oraz Józefa Mazura	27
XVII Powiatowy Konkurs o Armii Krajowej i Batalionach Chłopskich na Ziemi Biłgorajskiej	29

ZAPOMNIANY INSPEKTOR

W tym roku mija 40. rocznica śmierci Mieczysława Rakoczego - „Miecza”. Na Zamojszczyźnie znany głównie jako zastępca mjra Edwarda Markiewicza „Kaliny”.

Jego nazwisko pojawia się w kontekście operacji „Sturmwind”, jako tego, który oddał dowództwo nad zgromadzeniem Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, w ręce por. Konrada Bartoszewskiego „Wira”, a potem zniknął z kart historii Armii Krajowej z terenów między Wisłą a Bugiem. Roczny pobyt na Zamojszczyźnie, był jednak jedynie epizodem w jego prawie dwudziestoletniej działalności wojskowej i konspiracyjnej.

Przyszły „Miecz” pochodził z Krakowa. Urodził się 14 października 1907 r. w rodzinie Józefa i Stefani (z domu Steiner). W rodzinnym mieście uczęszczał do gimnazjum i zdał maturę. Karierę wojskową rozpoczął w 1929 r. Od początku służby związany był z kawalerią - czapka pierwszego wojskowego munduru, jaki włożył miała charakterystyczny biały otok - trafił do 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich w Starogardzie Gdańskim. Stamtąd skierowano go do *stolicy kawalerii polskiej* do Grudziądza, gdzie mieściło się Centrum Wyszczolenia Kawalerii (CWK). Do czerwca 1930 r. uczył się w tamtejszej Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii. Na praktyki trafił do stacjonującego wówczas w Tarnowie 5. Pułku Strzelców Konnych (5. psk). Po ich odbyciu wrócił do cywilnego życia - został przeniesiony do rezerwy w stopniu plutonowego podchorążego rezerwy kawalerii.

Zostać oficerem

Cywilne życie nie było pisane Rakoczemu. Chciał wrócić do kawalerii. W pierwszej połowie 1931 r. złożył dokumenty o przyjęcie do Szkoły Podchorążych Kawalerii. Ta kuźnia kadr polskiej jazdy była elementem grudziądzkiego CWK, a nauka w niej była marzeniem wielu podchorążych. Jemu się udało - był jednym z 83 szczęśliwców (na 300 chętnych), którzy zostali przyjęci w roku 1931. Kurs w szkole trwał dwa lata i rozpoczynał się 1 października. W trakcie zajęć uczono tam m.in. posługiwania się bronią białą, strzelania, taktyki, historii wojskowości. Równie ważnym elementem kształcenia przyszłych oficerów kawalerii, było wpajanie im etosu kawalerii i kultury, która miała ich odróżniać od innych rodzajów broni. 6 czerwca 1933 r. nastąpił wyczekiwany przez wszystkich podchorążych dzień zakończenia szkoły. W święto Wojska Polskiego 15 sierpnia nastąpiła uroczysta promocja. Rakoczy i jego koledzy z rocznika *Bitwy Ostrołęckiej* otrzymali patenty oficerskie. Świeżo mianowani podporucznicy służby stałej kawalerii mogli wybrać jednostkę, w której chcieli służyć. Wybór Rakoczego był dość oczywisty - wrócił on do 5. psk. Został dowódcą plutonu w 4-tym szwadronie. Z pułkiem o charakterystycznych zielono-amarantowo-białych barwach związany był prawie do samego końca II Rzeczypospolitej.

Pod koniec 1934 r. pułk, w którym służył Mieczysław Rakoczy przeniesiono do Dębicy. W tym okresie, przyszły „Miecz” poznał Adama Haniewicz - „Woynę”, który w 5. psk odbywał szkołę podoficerską. Obaj



Por. Mieczysław Rakoczy, 1936

REDAGUJE:

Wiesława Kubów-
Maria Działo
Lucyna Paluch
Elżbieta Wiśniewska
Małgorzata Duńko
Skład: Paweł Kozyra

Projekt okładki:
Kamil Kopera

WYDAWCA

Gminny Ośrodek
Kultury w Łukowej

ADRES

Gminny Ośrodek
Kultury w Łukowej
23-412 Łukowa
tel. 84 687 4060

gokluk1@wp.pl

www.lukowa.pl

NS-REJ. PR 86

spotkali się ponownie w okresie okupacji na Zamojszczyźnie. „Miecz” jako uciekinier z Krakowa, „Woyna” jako przybyły z Warszawy członek „Kompanii Warszawskiej”. Połowa lat trzydziestych nie zwiastowała jednak nadejścia tych ponurych czasów. Ten okres to czas kawalerskiego życia, występów na Mistrzostwach Armii (zwanych Militari) i letnich manewrów. W 1937 r. Rakoczy zostaje awansowany do stopnia porucznika. To jego ostatni awans w regularnym Wojsku Polskim.

Rok 1939

Ostatni rok pokoju. Ostatnie zawody Militari Krakowskiej Brygady Kawalerii (KBK) z udziałem Rakoczego. Latem wyjechał do Modlina. W tamtejszym Centrum Wyszkożenia Saperów kończy specjalistyczny kurs pionierski. Wojna zastaje go na stanowisku dowódcy plutonu technicznego KBK. Wraz z tym związkiem operacyjnym przemierzył Polskę. Walczył na Lubelszczyźnie – m.in. rejonie Tarnobrodu. KBK przeszła przez Puszcę Solską w drodze na spotkanie przeznaczenia – pod Tomaszów Lubelski. Po fiasku działań KBK i jej kapitulacji, Rakoczemu udało się uniknąć niewoli. Dostał się do Warszawy, by wziąć udział w jej obronie. Żołnierski los rzucił go na Mokotów, dowodził tam zmotoryzowanym plutonem minerskim na jednym z odcinków obrony przy ul. Puławskiej. Został ranny, jednak z pozycji nie zszedł. Po kapitulacji Warszawy podzielił los większości obrońców stolicy – trafił do niewoli. Udało mu się uciec z obozu przejściowego we Włochach (wówczas było to podwarszawskie miasteczko) i dotrzeć do rodzinnego Krakowa.

Krakowska konspiracja

W chwili umilknięcia ostatnich strzałów Wojny Obronnej Mieczysław Rakoczy miał 32 lata, prawie 10 z nich spędził w wojsku. Decyzja o kontynuowaniu walki z okupantem wszelkimi sposobami, wydawała się oczy-

wista. Przyjął konspiracyjny pseudonim „Soplica”. Początkowo był kurierem dowództwa krakowskiej Służby Zwycięstwu Polski i Związku Walki Zbrojnej. Następnie pełnił funkcję adiutanta komendanta Okręgu ZWZ-AK płka dypl. Zygmunta Miłkowskiego „Wrzosa”. Był w wąskim gronie osób decydujących o kształcie oporu w okupowanym Krakowie. W tym czasie poznał wielu oficerów AK, których wojenna zawierucha rzuciła do stolicy Małopolski. Jednym z nich był Kazimierz Tumidajski, późniejszy dowódca Okręgu AK Lublin o pseudonimie „Marcin”. Ta znajomość miała znacząco wpłynąć w przyszłości na losy Rakoczego.

Do połowy roku 1942 r. jego praca konspiracyjna w Krakowie szła doskonale. Został w marcu awansowany do stopnia rotmistrza AK (odpowiednik kapitana w kawalerii) i pełnił funkcję referenta kwaterunkowego. Następnie został szefem oddziału V-k Komendy Okręgu Kraków – zajmującego się łącznością konspiracyjną. W maju 1942 r. Gestapo aresztowało siostrę „Soplicy” - Stanisławę. Pracowała ona w charakterze sekretarki w Dyrekcji Policji Kryminalnej i współpracowała z AK. Dostarczyła ona kontrwywiadowi podziemia zdjęcie jednego z konfidentów. Trafiło ono do zaufanego człowieka i dobrego znajomego „Soplicy” - Franciszka Ponickiego „Szymona”, ten miał przekazać je dalej. Okazało się, że zdjęcie trafiło na Gestapo, wraz z informacją o jego pochodzeniu. Stanowiło to podstawę oskarżenia Stanisławy Rakoczy o zdradę tajemnicy służbowej i wysłanie jej do Oświęcimia, gdzie zmarła. Niedługo potem nastąpiła seria tajemniczych aresztowań ludzi związanych z krakowskim AK. Złapani przez Gestapo mieli do czynienia z „Szymonem” - jego mieszkanie i sklep chemiczny „Farbola”, były często wykorzystywane jako miejsce spotkań oficerów i skrzynka kontaktowa. Pierwszą ofiarą wsypy został „Soplica” - zamiast spodziewanego łącznika z Podhala, na spotkaniu pojawili

się gestapowcy. Rakoczy za wszelką cenę chciał wyrwać się Niemcom. W trakcie przesłuchania opowiedział gestapowcom, że zna miejsce ukrycia broni. Domniemany depozyt broni miał być ukryty w rejonie krakowskich Skalek Twardowskiego. Gestapowcy zabrali go tam, by wskazać i wykopać arsenał. W trakcie kopania Rakoczemu udało się wrzucić jednego z eskortujących go Niemców do wykopu i w trudnym, skalistym terenie uniknąć pościgu.

Poszukiwany

Wyrwanie się ze szponów Gestapo wydawało się prawie niemożliwe, jednak Rakoczemu się udało. Okoliczności swej ucieczki przedstawił



Ostatnie zawody Militari KBK, Kraków-Zakrzówek, czerwiec 1939 r.
Por. Rakoczy wraz z żoną Elżbietą, z domu Pilch. W 1944 r. pełniła ona funkcję szefa kancelarii III Odcinka AK Kraków jako por. AK ps. "Rawska"

on komendantowi Okręgu. Natychmiast pojawiły się oczywiste wątpliwości, co do niesamowitego szczęścia, które sprzyjało „Soplicy” w trakcie brawurowej ucieczki. Kontrwywiad AK sprawdzał, czy nie była ona upozorowana. Rotmistrz został odcięty od kontaktów ze środowiskiem, ale pozostał w ukryciu w Krakowie. Śledztwo polskiego podziemia nie wykazało jednak, by Rakoczy zdradził, a ucieczka była sfingowana. Jednak po tych wydarzeniach Kraków był dla niego zbyt niebezpiecznym miejscem. Na początku 1943 r., jako doświadczony oficer został przeniesiony do dyspozycji KG AK. Komenda Główna skierowała go do Białegostoku, gdzie w komendzie okręgu miał zajmować się sprawami wywiadu.

Na Zamojszczyznę

W trakcie pobytu w Warszawie Mieczysław Rakoczy spotkał swojego dawnego znajomego z Krakowa – ppłka Kazimierza Tumidajskiego „Marcina”. „Soplica” otrzymał propozycję przeniesienia się na Zamojszczyznę. Od jesieni 1942 r. Niemcy przeprowadzali tam akcję wysiedleńczą, którą poszczególne oddziały AK aktywnie zwalczały. Jednocześnie w Inspektoracie AK Zamość nastąpiły przetasowania kadrowe. Inspektorem został mjr Edward Markiewicz „Kalina”, a jego zastępcą kpt. Stanisław Prus „Adam”. 15 marca 1943 r. kpt „Adam” został również dowódcą Oddziałów Dywersji Bojowej (ODB) na Zamojszczyźnie. Tym samym część oddziałów została mu podporządkowana, co stwarzało oczywisty konflikt kompetencyjny z jego przełożonym – mjrem „Kaliną”. Rotmistrz Mieczysław Rakoczy został wysłany do Zamościa przez ppłka „Marcina”, by ocenić sytuację, ewentualnie przejąć obowiązki mjra „Kaliny”. Ostatecznie w maju „Miecz” (taki pseudonim przyjął krakowski oficer na Zamojszczyźnie) został zastępcą mjra „Kaliny”. Odwołanie z tej funkcji kpt. „Adama” częściowo załagodziło sytuację. „Miecz” początkowo zamieszkał w rejonie Szczeczeszyna, a następnie w Zwierzyńcu, z którym pożegnał się dopiero w czerwcu 1944 r.

„Sturmwind II”

18 czerwca 1944 r. w Bondyrzu odbyło się spotkanie oficerów Inspektoratu. Zbiegło ono się w czasie z pierwszym etapem operacji przeciwpartyzanckiej „Sturmwind II”. Część oficerów, w tym mjr „Kalina” i rtm. „Miecz”, pozostała wewnątrz zaciskającego się pierścienia okrążenia. 24 czerwca zniknął Inspektor „Kalina” - M. Rakoczy jako jego zastępca, przejął obowiązki zaginionego - został dowódcą zgrupowania AK i BCh w Puszczy Solskiej, a także komendantem Inspektoratu Zamojskiego AK. Trudna sytuacja, w jakiej znalazło się zgrupowanie bardzo szybko zmusiła rtm. „Miecz” do przekazania dowództwa por. Konradowi Bartoszewskiemu - „Wirowi”. „Miecz” nie znał terenu na jakim przyszło mu operować; „Wir” prowadził

walkę z okupantem w Puszczy Solskiej prawie od początku wojny. W trakcie bitwy pod Osuchami rotmistrz wyszedł z okrążenia na odcinku ataku oddziałów „Wira” i Józefa Steglińskiego - „Corda”. Poza liniami niemieckimi objął dowództwo nad jedną z większych grup złożonych z żołnierzy, którym udało się przebić. Po zapewnieniu rannym opieki udał się do Zwierzyńca. Po drodze pozbył się umundurowania i uzbrojenia, które, w nasyconym oddziałami Wehrmachtu terenie stanowiły dla niego śmiertelne zagrożenie. Czekало go trudne zadanie - jako komendant Inspektoratu Zamojskiego AK musiał poinformować dowództwo lubelskiego Okręgu o wydarzeniach w Puszczy Solskiej. Najpierw jednak „Miecz” musiał wydostać się z zagrożonego terenu i zebrać więcej wiadomości o ostatnich wydarzeniach. Trafił do Zamościa, a dopiero stamtąd udał się do Lublina. W pierwszych dniach lipca 1944 r. wydawało się, że bitwa pod Osuchami to cios, po którym ruch oporu na Zamojszczyźnie się nie podniesie. Z takim oglądem sprawy Rakoczy pojechał do Lublina złożyć meldunek „Marcinowi”. Przestał wówczas pełnić obowiązki Inspektora Zamojskiego i otrzymał kilkunastodniowy urlop, który spędził w Puławach. Powrót do Lublina, w połowie lipca okazał się niemożliwy - wokół miasta trwały walki, a kontakt z komendantem Okręgu nie został nawiązany. Wobec tego „Miecz” podjął decyzję o powrocie do Krakowa i kontynuowaniu walki w rodzinnym mieście.

Kraków 1944

*Kompletnie załamany tragicznymi walkami zgrupowania, ewakuował się do Krakowa z ppor. „Norbertem” (Zbigniew Kozankiewicz), na motocyklu Zundapp 600, posługując się sfabrykowanymi papierami - tak opisywał przybycie do Krakowa rtm. M. Rakoczego jego późniejszy podwładny - Kazimierz Albin, szef dywersji krakowskiego III Odcinka. „Miecz” po nawiązaniu kontaktów w stolicy Generalnego Gubernatorstwa, został mianowany komendantem właśnie III Odcinka Komendy Obwodu AK Kraków-miasto (odcinek „Północ”, kryptonim „Granit”). Obejmował obowiązki w niełatwym okresie. Pierwsza odprawa, którą prowadził wypadła w dniu wybuchu w Warszawie powstania, a zadania jakie stawał przed podkomendnymi wydawały się niemożliwe do realizacji. Początkowo został uznany za oficera, który o walce w warunkach miejskich ma nikłe pojęcie. Jednak seria udanych akcji, w tym m.in. kradzież ponad 2 mln złotych z filii Banku Emisyjnego w Krakowie, zartała pierwsze, niezbyt korzystne wrażenie. Jak pisał jego podkomendny, Witold Dąbek: *W tym czasie poznałem go jako jednego z najdzielniejszych dowódców oraz opiekuna żołnierza-podwładnego. Na początku stycznia 1945 r. Mieczysław Rakoczy został awansowany do stopnia majora. Niedługo potem Kraków zajęła Armia Czerwona, a AK została rozformowana. Rozpoczął się nowy okres oporu.**

Nowa rzeczywistość

W miejsce rozwiązanej AK bardzo szybko tworzą się nowe struktury konspiracyjne (m.in. organizacja NIE), które w maju 1945 r. przyjmują formę Delegatury Sił Zbrojnych (DSZ). Wiosną tego roku z mjr. M. Rakoczym skontaktował się ppłk Bogdan Zieliński („Tytus”). Oficer ten znał kawalerzystę jeszcze z czasów krakowskiego ZWZ. W roku 1945 ppłk „Tytus” pełnił obowiązki dowódcy Akcji „Ż” w ramach DSZ. Akcja ta miała na celu prowadzenie wywiadu wojskowego w jednostkach sił zbrojnych podległych nowej władzy. Drugim celem było oddziaływanie propagandowe na szeregowych „żołnierzy Żymierskiego” (stąd nazwa akcji - „Ż”). Na terenie Obszaru Południowego DSZ kierował tą akcją ppłk Walerian Tumanowicz „Jagodziński”, a jego zastępcą został mjr M. Rakoczy, który przyjął pseudonim „Mak”. Akcja „Ż” kontynuowana była po przekształceniu DSZ w Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość (WiN). W ramach swej pracy konspiracyjnej utrzymywał kontakty z szefem ogólnopolskiej akcji „Ż” - „Tytusem” oraz płk. Franciszkiem Niepokulczyckim - prezesem WiN. Jednocześnie „Mak” podejmuje działania legalizacyjne i stwarza sobie legendę zwolennika nowej władzy. 1 VIII 1945 r. ujawnia w Krakowie swą działalność w AK, 1 I 1946 r. wstępuje do PPS. Równocześnie publicznie zachęca znajomych z okresu okupacji

do ujawnienia działalności w AK; to za jego namową w Krakowie ujawnił się „Wir”. Wiosną 1946 r. przeniósł się do Katowic i rozpoczął pracę jako inspektor w Wojewódzkim Komitecie Opieki Społecznej. Pomimo zachowania ostrożności, kiedy jesienią 1946 r. Urząd Bezpieczeństwa rozpracował akcję „Ż”, „Mak” został aresztowany.

W rękach Urzędu Bezpieczeństwa

W trakcie procesu mjr M. Rakoczy został oskarżony o udział w nielegalnej organizacji WiN i działalność w ramach akcji „Ż”. „Mak” przesiedział prawie rok w areszcie UB na Montelupich w Krakowie. Jednak w trakcie procesu zadziałała jego legenda - sąd umorzył sprawę przeciwko niemu. Skład sędziowski przyjął, że Rakoczy chciał przekonać innych działaczy WiN do zejścia z drogi przestępczej, a środki finansowe pobierał ze względu na swą trudną sytuację materialną. Umorzenie śledztwa nie oznaczało końca nękania mjr. Rakoczego przez UB. Ostatecznie zgodził się w grudniu 1953 r. zostać informatorem Urzędu. Przyjął pseudonim „Krzyżanowski”, jednak bezpieczeństwa nie miała z niego pożytku. Agent prowadzący w raportach narzekał, że Rakoczy chce współpracować tylko warunki pracy ma takie, że nigdy nie ma czasu, zawsze mu coś wypadnie, jak nie wyjazd w teren, to konferencja, to jakieś prace zlecone itp., i z tych przyczyn nie przyszedł na spotkanie - lub nie mógł wykonać zadania. Po odwilży roku 1956, bezowocna współpraca została zakończona: Rakoczy na spotkaniu z agentem prowadzącym kategorycznie odmówił podawania jakichkolwiek informacji. Przez ten powojenny okres mjr „Miecz” mieszkał w Krakowie, pracując jako kierownik BHP w krakowskim Zjednoczeniu „Elektromontaż”. Zmarł w rodzinnym mieście 6 czerwca 1976 r. Za swą działalność w trakcie okupacji niemieckiej został odznaczony Krzyżem Srebrnym V klasy orderu Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych.

Kamil Kopera

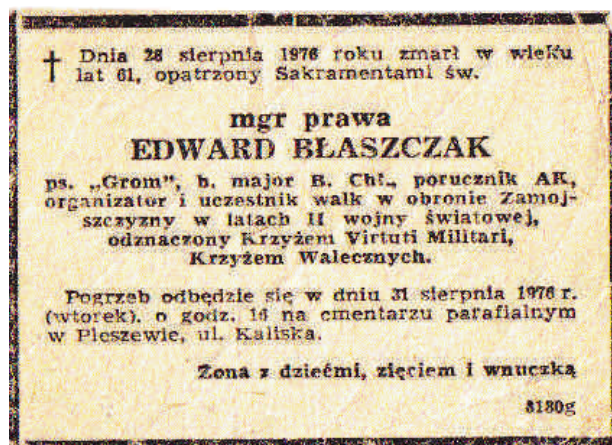


Mjr Mieczysław Rakoczy po aresztowaniu w 1946 r. W klapie widoczne miniaturki orderu Virtuti Militari i Krzyża Walecznych

40. rocznica śmierci porucznika Edwarda Błaszczaka „Grom”



Trumna ukochanego dowódcy niesiona przez żołnierzy oddziału „Groma”



WSPOMNIENIE O KAROLU WILHELMIE PS. „CZARNY”

Podróż sentymentalna w przeszłość i kolejne „Termopile polskie”,
czyli najcięższe bitwy partyzanckie



Plut. K. Wilhelm ps. „Czarny”

Wspomnienie to zrodziło się z ogromnej potrzeby serca i nadziei na ocalenie od zapomnienia wydarzeń, które wpłynęły na losy nie tylko pojedynczej rodziny, ale i Ojczyzny.

Ból po utracie najwspanialszych Synów tej Ziemi, heroicznych żołnierzy AK i partyzantów, a nade wszystko bezsilność i niemoc opłakiwania oraz zakończenia swoistej wielopokoleniowej żałoby naka-

zują unieśmiertelnąć strzępy wspomnień z tamtych dni, a czasem wspomnień z dzieciństwa, w którym żywe były jedynie wyobrażenia o niegdysiejszych chłopcach.

W czasach kiedy nie pozwolono nam wykrzyczeć buntu i bólesci wobec niesprawiedliwości, pozostało nam jedynie pełnienie roli pogrobowców i to w dumnym znaczeniu tego słowa.

Ostracyzm polityczny władz komunistycznych skazał na wygnanie nieżyjących, ale pamięć o nich, wspomnienia, dumę z polskości, skazał na podziemie cnotę bohaterstwa i chwałę polskiego oręża.

Kiedy na zachodzie Europy pojawił się pacyfistyczny ruch „Dzieci kwiaty” z ich przesłaniem miłości, kultu natury, pragnący dowieść, że istnieje alternatywa dla militarnych i ekonomicznych potęg, pokolenia młodych Polaków odarto z przeszłości, w zamian podarowano im przekłamaną historię, zimną wojnę i terror.

Zbrukano najczystsze poświęcenie życia w obronie Ojczyzny i Jej honoru.

Zastąpiono patriotyzm internacjonalizmem. A gdzieś w głębi, niczym wiara Ojców, kwitła w nas narodowa дума. Dzisiaj otworzyły się drzwi prawdy o Katyniu, Powstaniu Warszawskim, doczekali się chwały żołnierze wyklęci, cichociemni, tylko kolejne „Termopile polskie” nie ujrzały glorii tej wielkości co greckie.

Mam tu na myśli heroiczną walkę polskich partyzantów wobec miażdżącej siły 30.000 żołnierzy m.in. trzech dywizji Wehrmachtu, w odpowiedzi na niemieckie akcje przeciwpartyzanckie „Sturmwind I” i „Sturmwind II” (Wicher I i Wicher II), inspirowane niewątpliwie raportami przedstawicieli aparatu Generalnej Guberni, choćby takimi, jak stwierdzenie Hansa Franka z lutego 1944: „Jeśli nie potrafimy sobie dać rady z taktyką bandycką w takim razie nie będziemy już panami tego kraju...”

Rozpętano piekło, szaleńczy atak na partyzantów

i dlatego też, to nie nieliczni powinni składać hołd ich pamięci, ale świat powinien poznać heroizm „400” sprawiedliwych.

„Blizną” odziedziczoną po przodkach, a jednocześnie pielęgnowaną, jest dla mnie wspomnienie o Lolku- tak bowiem nazywali go najbliżsi, plutonowym Karolu Wilhelmie, pseudonim „Czarny”, najmłodszym bracie mojej ukochanej babki Bronisławy Homik z domu Wilhelm.

Do niej również podobny był urodą i temperamentem. Korzeni austriackich, z okresu Austro-Węgier, można dopatrzyć się w pięknych rysach twarzy i posturze rodzeństwa.

Ze wspomnień rodzinnych wyłania się postać wysokiego, przystojnego mężczyzny, o dużym poczuciu humoru, ogromnie ciepłego w kontaktach z innymi, nazywającego swoją uroczą dorastającą siostrzenicę Jadwigę „Żurnalówką”, zżytego z rodzeństwem, ceniącego nad wyraz honor i umiłowanie Ojczyzny.

To obraz podoficera zawodowego Armii Krajowej, absolwenta 3 - letniej szkoły podoficerskiej, pełniącego początkowo służbę we Lwowie, ale także chłopaka więzionego, katowanego i głodzonego na Zamku Lubelskim, cudem uratowanego, któremu udało się przetrwać najgorsze i który powrócił do czynnej walki w partyzantce jako dowódca 3 plutonu II Kompanii „Ruda Różaniecka”.

Zginął 21 czerwca 1944 roku, w lasach nad Tanwią, w trakcie niemieckiej akcji „Sturmwind II” w wieku 27 lat.

Ciężko było umierać tak młodo, chociaż w młodości tej doświadczył zbyt wiele okrucieństwa. Karol miał przeżycie, że nie przeżyje wojny i w rozmowach z moją matką często o tym mówił.

Każde wspomnienie o nim ogromnie sobie cenię, bowiem wraz z wiedzą o tamtych koszmarnych latach przekazano mi głęboką miłość do pokolenia straceńców, którego przedstawicielem był dla mnie Lolek. Dodatkowo stał się legendą.

Urodził się w 1918 roku w osadzie Freifeld, obecna nazwa Kowalówka.

Pochodził z wielodzietnej rodziny Jana i Anny z domu Jaremczak, z Oleszyc, kontynuującej tradycje wielopokoleniowego kowalstwa i sięgającej korzeniami osadników czasów kolonizacji józefińskiej (1783 r.).

W zbiorach rodzinnych odnalazłam „Świadectwo przynależności” (zamieszkania) wystawione przez Naczelnika Gminy, Jana Wilhelma (ojca Karola), panu Józefowi Mederowi, urodzonemu w 1870 roku we Freifeldzie i sporządzone w tejże miejscowości w dniu 13 listopada

1909 roku. Karol miał cztery siostry: Antoninę, Teofilę, Bronisławę, Marię i braci Jana oraz Piotra.

Mógł kontynuować tradycje rodzinne i poznawać tajniki kowalstwa pod okiem starszego brata Piotra, ale szwagier Ludwik, mąż jego siostry Bronisławy, pełniący służbę w granatowej policji doradził mu drogę kariery wojskowej, co zaowocowało pójściem do Szkoły Podoficerów Piechoty dla Małoletnich nr 2 w Śremie. Kolejnym etapem w jego życiu była służba we Lwowie, gdzie zapoznał Marysię, przyszłą narzeczoną. Niestety, dalsze losy to już tylko żołnierska tułaczka, udział w bitwie pod Lwowem, powrót do domu, a w wyniku zdradzieckiego donosu do gestapo w Zamościu, roczne więzienie na Zamku Lubelskim w 1940 r.

Masakrowany, bity w stopy, tak że niemożliwością było chodzenie, głodzony, porzucony w baszcie i skazany na powolne konanie, odcięty od świata zewnętrznego i rodziny, z którą nie miał kontaktu, gdyż jego listy nie opuszczały murów twierdzy, a na pewno nie docierały do najbliższych, pomoc, a w konsekwencji ratunek odnalazł w osobie współwięźnia, kolejarza z Lublina.

Ten ostatni, jak tylko wydostał się na wolność, powiadomił rodzinę Wilhelmów o tragicznej sytuacji Lolka. Wówczas to siostra Lolka - Bronisława, która działała później w konspiracji i dostarczała partyzantom żywność i czasem przewoziła broń, udawała się w asyście kogoś z rodziny na Zamek Lubelski.

Wyniesiona z domu dobra znajomość języka niemieckiego, piękna aparycja, spryt i inteligencja mojej babki zrobiły swoje. W jednej z rozmów z dnia 30.09.2015 i 2.10.2015 córka drugiej siostry Lolka - Teofili, Irena Bąk z domu Turczynowska, dzisiaj 84-letnia, tak opisywała te wydarzenia widziane oczami dziecka:

Lolek jak był młodym chłopakiem pracował na Freifeldzie w kuźni z bratem Piotrem, do którego kuźnia należała, twój dziadek Ludwik, który odbywał służbę w granatowej Policji, zaproponował mu pójście do szkoły podoficerskiej w Śremie. Lolek był bardzo przystojnym chłopakiem, wysokim brunetem, ukończył szkołę podoficerską, został kapralem, wiem, że później służył we Lwowie, pamiętam to z opowiadań matki, ponieważ ja w tym czasie miałam 8-9 lat. We Lwowie też poznał dziewczynę, jej ojciec był kolejarzem, zdała maturę, bardzo się kochali. Nadeszła wojna, pamiętam to był piątek, ładna pogoda. Jak Lolek został powołany na front, matka otrzymała od niego list z informacją, że wyrusza na front, bardzo rozpaczała i ja się rozpłakałam i tak wyszłam na ulicę. Pamiętam, jak sąsiadka spytała co się stało, a ja jej odpowiedziałam - właśnie wybuchła wojna i wujek idzie na front. Już pod koniec wojny, jak Niemcy zajęli Cieszanów, po bitwie pod Oleszycami, pod Tomaszowem, wszyscy się rozproszyli. Lolkowi udało się wydostać, znalazł gdzieś na polu taką krupkę, to się w tym karmiło konie, jakiś chłop dał mu ubranie chłopskie, spodnie i taki kaftan ze zgrzebnego płótna i tak udając że sieje w polu, dotarł do nas. Jak zobaczyłam że to wraca Lolek, z radości na-

robiłam hałasu, a on dał mi znak żebym była cicho, opowiadał że była bitwa pod Lwowem, mama szybko dała znać wujkowi Piotrkowi i na wieczór zabrali go do domu na Freifeld. Tam pomagał Piotrowi w kuźni.

Więzienie na Zamku Lubelskim 1940

Niedaleko Wilhelmów mieszkali spokrewnione rodziny i ktoś od nich doniósł na Lolka, że walczył z Niemcami. W efekcie Lolek dostał wezwanie do stawienia się na konkretny dzień i godzinę na gestapo w Zamościu.

Tego dnia siadł na rower i od tamtej chwili przepadł na rok czasu, nie było od niego wiadomości, jak później okazało się siedział na Zamku Lubelskim.

Dopiero list od kolejarza, z którym przebywał w celi i którego poprosił o odszukanie rodziny, pozwolił na jego odnalezienie.

W wydostaniu Lolka z Zamku pomógł leśniczy mieszkający w Dzikowie, kontakty jego i jego żony, Mitzi Szałańskiej z domu Pilinger, walizka mięsa i spryt oraz elokwencja twojej babci. Lolek był katowany na Zamku, bity w stopy - te wspomnienia pokrywają się ze słowami mojej matki, która pamiętała Lolka, już zawsze przyjeżdżającego z lasu konno. Po powrocie z więzienia na Zamku przebywał krótko w domu, jak opowiadał o tym co robiono na Zamku z więźniami, w domu zawsze musiały być pozastaniane okna, a on mówił przyciszonym głosem. Poszedł do lasu, czasem przebywał u Albina na Rudzie, i ogólnie były to 3 lata męki, bezdomność w lesie.

Pożar w Cieszanowie

2 maja twoja babcia Bronia uciekła do Rudy Różanieckiej, ostrzeliwali ich partyzanci, zaraz potem Cieszanów został spalony przez Ukraińców, no i Niemcy zniszczyli miasto - jak nadleciała eskadra niemiecka, też zrobiła swoje. Cieszanów był zniszczony w 90%, a nawet więcej, same zgłiszczą były, jak Warszawa po powstaniu. Ja musiałam to wszystko przejść, tak, że jak miałam 16 lat już miałam siwe włosy. Pomimo że było głodno, chłodno, miło wspominałam lata szkolne, koleżanki, nauczycieli, z sentymentem, jako najmielsze beztrojskie chwile.

Konspiracja

Jeszcze z domu pamiętam, jak pewnego dnia nie mogłyśmy wejść z twoją mamą do środka, ponieważ do twojej babci Broni przyjechał Polakowski i tam był Lolek, i było jeszcze jakiś dwóch innych, odbierał przysięgę od Gołaszewskiego, komendanta granatowej policji i tak werbowował ich do AK.

Lata w lesie

Lolek i inni mieli świetnie zamaskowany bunkier, ziemiankę nad Tanwią i tam się chronili po akcjach, tam byli Gołaszewski, Soroka - nauczyciel, Paduch. Panował głód, banderowcy wokół, jednego razu próbowali zebrać na polu ziemniaki, ale banderowcy ostrzelali ich. Raz babcia twoja pojechała do Tomaszowa, do jakiejś aprowizacji, opowiadała o głodzie i nękanii przez bandy, zebrała wówczas furmankę żywności dla partyzantów. A tak w ogóle często jeździła z Cieszanowa do Lwowa i przywoziła żywność oraz broń dla partyzantów. Miała wówczas 36-37 lat i była bardzo elegancką kobietą.

Kiedyś, jak wysiadła z pociągu, jakiś Niemiec, szarmancko pomógł jej nieść walizkę, śmiejąc się że dźwiga rąbankę.

Nietrudno domyśleć się co by się stało, gdyby wiedział co w niej było.

Wspomnienia te pokrywają się z opowiadaniem mojej matki, o których przypominam sobie, sięgając głęboko w obrazy z dzieciństwa.

W rozmowie z ostatnim żyjącym partyzantem, panem Władysławem Farionem z Rudy Różanieckiej, z dnia 25.10.2015 dowiedziałam się również, że partyzanci przechowywali w bunkrach dobrze zamaskowaną broń, a była to nowoczesna broń ze zrzutów, tak, że mogli się bronić i mieli taki rozkaz.

A tak opisuje on ostatnie chwile z życia Lolka:

Lolek wraz z innymi schronił się w bunkrze. Bunkier tak dobrze był zamaskowany, że Niemcy by go nie wykryli. W pewnej chwili, Poduch wyszedł z bunkra po wodę i wtedy Niemcy go zastrzelili. Poza tym, Niemcy mieli niedaleko swoją placówkę, obrzucili bunkier co najmniej 30 granatami, a rzucali je z góry i te które wpadły do bunkra zabiły przebywających w nim partyzantów.

Lolek miał urwaną nogę, rękę, zmasakrowane ciało.

W nocy przyjechała furmanka i zabrała wszystkich. Pochowano ich w Rudzie Różanieckiej.

Po tej akcji, przybyła do Narola narzeczona Lolka, Marysia, niestety powiadomiono ją że Lolek zginął.

Niektóre udokumentowane fakty z życia Karola Wilhelma dotyczące działalności konspiracyjnej odnalazłam w jednym z artykułów opublikowanych w wydaniu specjalnym „Gońca Łukowej” z czerwca 2015, gdzie zamieszczono wspomnienia Tomasza Ważnego ps. „Szarak”.

Ten ostatni zawdzięczał wcielenie do organizacji konspiracyjnej i dostąpienie zaszczytu bycia żołnierzem Armii Krajowej właśnie Karolowi Wilhelmowi.

Umówiony na spotkanie z Karolem w Kowalówce (poprzednia nazwa Freifeld), stawił się u Piotra Wilhelma, brata Karola, kowala, pod pretekstem naostrzenia siekiery, po czym, jak pisze własnymi słowami:

w odpowiedniej chwili zawołał mnie Meder do małego pokoiku, gdzie mieszkał Karol Wilhelm. Był to młody człowiek podoficer zawodowy Wojska Polskiego z ukończoną 3 letnią szkołą podoficerską”. To on mu powiedział jakie obowiązki bierze na siebie „mam oddać życie, a nie zdradzić tajemnicy i czy się na to zgadzam”. Jak wyraziłem zgodę w obecności Ludwika Medera, odebrał ode mnie przysięgę i od tej chwili stałem się żołnierzem Armii Krajowej, a plutonowy Wilhelm pseudonim „Czarny” moim dowódcą plutonu.



Tablica na grobie „Czarnego” na cmentarzu w Rudzie Różanieckiej

Inne losy Karola Wilhelma i jego towarzyszy broni odkrywa artykuł Narolskiego Centrum Informacji (NCI) z 03.2009 poświęcony partyzantom poległym w obronie Ojczyzny i pochowanym na cmentarzu w Rudzie Różanieckiej.

Oto jego obszerny fragment, godny zacytowania:

Osoby spoczywające na tym cmentarzu to partyzanci, którzy zginęli w czerwcu 1944 podczas walk z Niemcami. Hitlerowcy w maju i czerwcu 1944 r. przeprowadzili dwie duże operacje skierowane przeciw partyzantom. Nosiły one kryptonim „Sturmwind I” („Wicher I”) i „Sturmwind II” („Wicher II”). Obie akcje miały na celu zniszczenie ugrupowań partyzanckich, przy czym „Sturmwind I” objął lasy ja-

nowskie, a „Sturmwind II” Puszczę Solską. Do przeprowadzenia tych operacji Niemcy zgromadzili siły liczące około 30 tysięcy ludzi, a także samoloty bombowe i rozpoznawcze. Tak wielkich sił do walki z partyzantami nigdzie w Polsce nie użyto przez cały okres okupacji.

Pierwszą operację rozpoczęto w maju, a drugą w połowie czerwca. W dniu 18 czerwca siły niemieckie otoczyły Puszczę Solską wzdłuż miejscowości: Zwierzyniec- Biłgoraj- Tarnogród - Lubliniec - Ruda Różaniecka - Susiec - Krasnobród - Zwierzyniec, a 20 czerwca zamknęto ten rejon silnym pierścieniem. W okrążeniu znalazło się około 3100 partyzantów zgrupowanych w oddziałach Armii Krajowej, Batalionach Chłopskich, Armii Ludowej i oddziałach radzieckich.

Akcję tę, podobnie jak „Sturmwind I”, poprzedziły bombardowania gajówek i wsi położonych w głębi puszczy. Okupanci wiedzieli, że te miejsca to „sprzymierzeńcy” partyzantów. Mieściły się w nich często stałe punkty kontaktowe „leśnych ludzi”, zaopatrywano się tam w żywność i odzież.

Podczas akcji samoloty dokonywały też nalotów na obozy i miejsca postoju oddziałów partyzanckich.

Zdarzały się również przypadki, że z pokładu samolotu ostrzeliwano osoby cywilne lub pojedyncze furmanki dostrzeżone na leśnych drogach. Oprócz akcji bombowców, lasy były patrolowane przez samoloty rozpoznawcze.

O świcie 21 czerwca rozpoczęła się operacja „Sturmwind II”. Po silnym ostrzale artyleryjskim, w głąb puszczy ruszyły wojska Wehrmachtu. Żołnierze szli tyralierą rozstawieni co 4 metry, nacierając od północy, wschodu i zachodu. Od południa natomiast, na linii Tanwi, Niemcy umocnili swoje pozycje. W ciągu dnia przeczesywali dokładnie las, a wieczorem okopywali się i zakładali silnie umocnione obozy. Wprawdzie partyzanci byli dość dobrze uzbrojeni i otrzymali rozkaz, by się bronić, ale nie przypuszczano, że tak duże siły okupan-

ta zostały skierowane do walki z nimi.

W chwili gdy wojsko niemieckie zaczęło zacieśniać okrążenie część partyzantów otrzymała rozkaz, aby przebijając się na własną rękę. Partyzanci przygotowali więc kryjówki na broń i amunicję oraz dla siebie. Niemcy patrolując las uważnie sprawdzali każde podejrzané miejsce, a często strzelali na oślep w kierunku gęstych zarośli czy dziwnych pagórków. W ten sposób zginął m.in. Karol Ważny z Rudy Różanieckiej. Po przejściu oblawy koledzy bezskutecznie nawoływali go, by wyszedł z ukrycia, a gdy to nie skutkowało podeszli do jego kryjówki i znaleźli martwego ze śladem po kuli na czole, Niemcy nie znaleźli go, ale nie wiedzieli też, że zabili jednego z partyzantów.

Władysław Farion, dziś 91-letni, tak opisywał tamte wydarzenia, we wspomnianej wyżej rozmowie:

Partyzanci uciekali w las, kryli się w bagnach, jak mój kolega, któremu udało się uratować, gdyż szpaler Niemców rozstał się przed bagnem, a on skrył się pod wodą.

Inni wspinali się na drzewa. Po roku z drzew, a rosły tam jodły, sosny, spadały ludzkie kości.

W wyniku akcji „Sturmwind II” straciło życie około 400 partyzantów. Ci którzy spoczywają na Cmentarzu w Rudzie Różanieckiej zginęli w wyniku akcji przeprowadzonych w dniach 21, 24 i 29 czerwca. Są to Józef Gołaszewski, lat 31, Kazimierz Soroka, lat 29, **Karol Wilhelm**, lat 27, Jan Rozner, lat 40, Adam Rozmus, lat 29, Franciszek Ważny, lat 28, Stanisław Ważny, lat 24, Andrzej Rozmus, lat 35, Mieczysław Kasper-ski, lat 19, Franciszek Waż-

ny, lat 24, Edward Wróbel, lat 31, Ludwik Zygarlicki, lat 35, Karol Ważny, lat 30; Franciszek Kościelecki, lat 37, Jan Choma, lat 48, Ludwik Meder, lat 36, Tomasz Poduch, lat 32 i Piotr Kolasa, lat 51.

Pięciu ostatnich partyzantów posiada grób zbiorowy i ma on charakter symboliczny. Wiadomo bowiem, że zginęli w wyniku akcji „Sturmwind II”, ale ich ciała nie udało się odnaleźć.

Ciała pozostałych trzynastu zwożono do Rudy niemal natychmiast po zakończeniu oblawy.

Koledzy i rodziny ruszyli do lasu, aby odnaleźć ich zwłoki, póki jeszcze pamiętali miejsca tymczasowego pochówku. Specjalna furmanka udała się też „na Tawnew”, tam bowiem w jednym z bunkrów zostali zabici: J. Gołaszewski, K. Soroka, **K. Wilhelm**, i T. Paduch.

Najdłużej na pochówek, bo aż miesiąc, czekał Adam Rozmus, a zginął on jako pierwszy spośród nich.

Bardzo chciałabym powiedzieć za autorem cytowanego tekstu NCI, iż warto uruchomić wyobraźnię widząc skromne mogiły tych, którzy stracili życie w obronie ojczyzny, odczytując znajome nazwiska, a szczególnie wiek spoczywających tu osób zwłaszcza, że ci ludzie mieli własne rodziny, ktoś o nich myślał, martwił się, tęsknił oraz że ten skrawek ziemi na skraju wsi kryje w sobie szczątki ludzi, którzy tworzyli nie tylko historię regionu, lecz także kraju.

A Karolowi pragnęłabym dedykować jako epitafium słowa Marii Konopnickiej, widniejące na cokole przy jej grobie:

*Proście wy Boga o takie mogiły,
Które też nie chcą, ni skarg, ni żałości,
Lecz dają sercom moc czynu, zdroj siły
Na dzień przyszłości...*

z wiersza „Na cmentarzu”.

Wspomnienia zebrała Jolanta Kais-Badrici (wnuczka Bronisławy, siostry Karola Wilhelma)



Tablica nagrobna partyzanta Kazimierza Soroki, cmentarz w Rudzie Różanieckiej

Odeszli na wieczną wartę



16 stycznia 2016 roku odszedł Henryk Radliński, żołnierz kampanii wrześniowej 1939, oficer AK ps. „Beton”, „Szary” i „Hel”, komendant placówki w Sułowie, patriota, oddany syn Ziemi Zamojskiej.

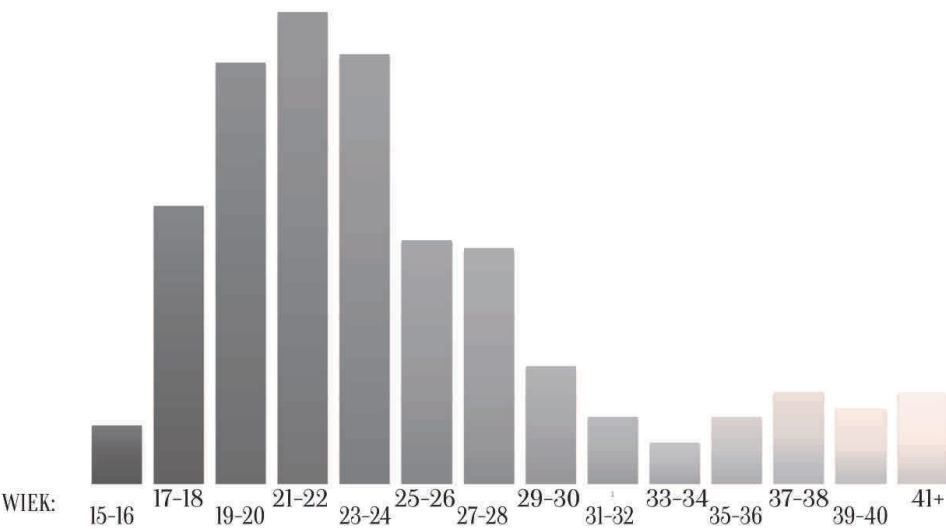


W dniu 28.02.2016 r. odszedł od nas do Pana Boga Stanisław Kurowski ps. „Kura” - współtwórca Grupy Rekonstrukcji Historycznej „WIR”, pasjonat historii II wojny światowej, pracownik Muzeum Ziemi Biłgorajskiej.

Od kilkunastu lat jeden z głównych uczestników inscenizacji historycznej podczas uroczystości w Osuchach. Człowiek skromny i życzliwy, niezwykle ceniony przez wielu kolekcjonerów eksponatów wojennych w Polsce.

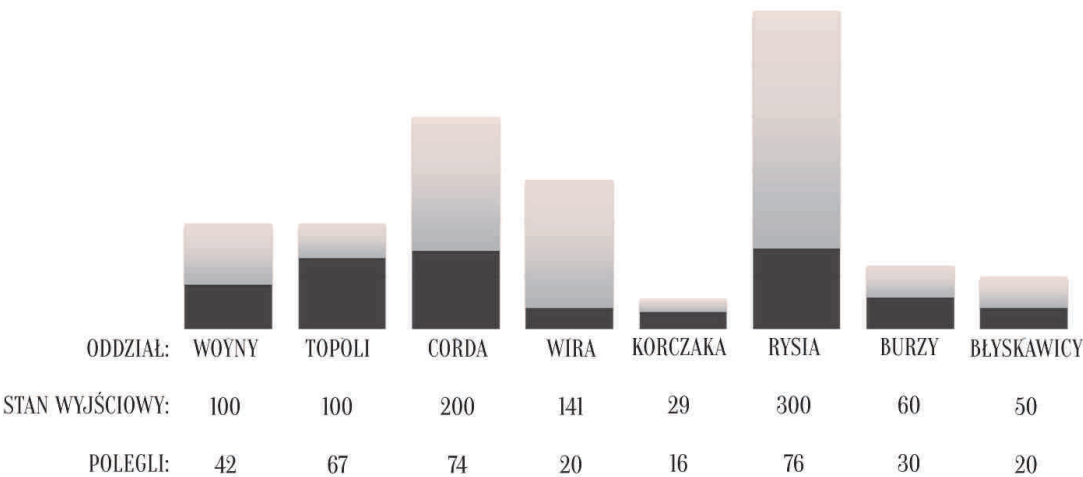
— MŁODZI PARTYZANCI SPOD OSUCH —
POLEGLI W WALKACH W PUSZCZY SOLSKIEJ W CZERWCU 1944 R.

STRUKTURA WIEKOWA PARTYZANTÓW POLEGŁYCH W TRAKCIE OPERACJI „STURMWIND II”



ŚREDNIA WIEKU PARTYZANTÓW KTÓRZY POLEGLI TO
25 LAT

STRATY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ I BATALIONÓW CHŁOPSKICH



MORDY I REPRESJE DOKONANE PRZEZ NIEMCÓW NA MIESZKAŃCACH WSI GMINY ŁUKOWA

Wybrane wypisy z Archiwum Państwowego w Zamościu sporządzone w 1971 roku na zlecenie Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Łukowej w celu przeprowadzenia badań zbrodni hitlerowskich na mieszkańcach gminy Łukowa – zapis oryginalny

Wieś OSUCHY

I

W lipcu 1942 roku dokonano w miejscowości Osuchy aresztowań z rozkazu władz administracyjnych następujących osób narodowości polskiej:

Pawlikowski Władysław 17 lat, Drożdziel Franciszek 43 lat, Osuch Franciszek 50 lat, Pluskwa Jan 45 lat.

Wymienione osoby z nakazu miejscowego sołtysa musiały zgłosić się w podanym terminie do Biłgoraja i stać się na Arbaitzancie, skąd po upływie jednej doby odesłano ich do Lublina, gdzie przebywali w obozie przejściowym tydzień czasu. Potem zostali odesłani do Malborka skąd przez okres 2 tygodni zmuszono ich do kopania ziemniaków w gospodarstwach przydomowych. Następnie zostali wywiezieni do obozu pracy do Królewca, skąd wrócili po zakończeniu wojny.

Spisano na podstawie relacji: Władysława Pawlikowskiego, Franciszka Osuch z Osuch

II

W roku 1942 pod koniec sierpnia przyjechał oddział Szupo do miejscowości Osuchy, gdzie zaczęli dopytywać się o mieszkańca Osuch. Kiedy dowiedzieli się, gdzie się znajduje, tam udali się. On wraz z żoną w tym czasie wykonywał jakąś pracę w stodole. Żona, kiedy zobaczyła, że idzie Szupo podpowiedziała mu, by uciekał, ale on tego nie uczynił. Gdy przyszli poprosili go na rozmowę za jego zabudowaniami. Żonie kazali zostać. Rozmowę krótką z nim przeprowadzili w odległości 200 metrów od zabudowań, a następnie go rozstrzelali za rzekomą pomoc partyzantom.

Spisano na podstawie relacji: Anny Osuch z Osuch

III

26 VI 1943 roku część mieszkańców wsi Osuchy uciekła przed Niemcami do wsi Łukowej. Następnego dnia tj. 27 VI Niemcy stacjonujący w Łukowej ogłosili, by mieszkańcy Osuch wrócili do domów, co ci zrobili. Wracając, przed Osuchami, nad rzeką Tanwią spotkali okopanych wzdłuż rzeki Niemców, którzy zatrzymywali ich, a kiedy nabierało się więcej pod konwojem odprowadzono ich do Osuch i w zabudowaniach mieszkańca Osuch Franciszka trzymano ich przez całą noc. Rano Niemcy (Wermacht) odprowadzili ich do Józefowa, skąd samochodami odwieziono do stacji kolejowej Długi Kąt, gdzie ich zapędzono do wagonów towarowych, zamknięto i odwieziono do obozu w Zamościu. Powodem wywiezienia była pomoc partyzantom.

Tych osób było 37 osób, w tym: 26 kobiet, 2 dzieci i 9 mężczyzn.

1. Osuch Aniela – 19 lat
2. Osuch Apolonia – 23 lat z dzieckiem 9 mies.
3. Dudzicz Helena
4. Ćwik Zofia – 19 lat
5. Dorożuk
6. Katarzyna Borysowicz z dzieckiem
7. Sielezin Anna
8. Pieczętka Magdalena
9. Piłula Józefa
10. Sielezin Katarzyna
11. Kierepka Jan
12. Kierepka Aniela
13. Osuch Anna
14. Osuch Eugenia
15. Osuch Leokadia
16. Małek
17. Osuch Stanisława
18. Osuch Jan
19. Grzywna Maria
20. Grzywna Stefania
21. Osuch Rozalia
22. Pawlikowski Stanisław
23. Zwoliński Jan
24. Szukało Maria
25. Szukało Eugenia
26. Osuch Franciszek
27. Osuch Maria
28. Jaromin - pochodząca z Buga
29. Kotwis Józef
30. Kotwis Katarzyna
31. Okapieć Maria
32. Wenek Maria
33. Paluch Franciszek
34. Poluga - z Łukowej
35. Osuch Maria
36. Dyrka Katarzyna
37. Dyrka Maria

Wszyscy wrócili z obozów oprócz Dorożuka i Palucha, zamordowanych przez bicie.

Spisano na podstawie relacji: Osuch Anny, Kierepki Jana, Okapieć Marii z Osuch.

IV

1 VII 1943 r. ludność wsi Osuchy w obawie przed Niemcami, którzy przyszli po dokonaniu egzekucji w miejscowości Szarajówka i Pardysówka do wsi Łukowa,

uciekła do pobliskiego lasu lub się ukryła. Zgromadzili się w uroczysku „Ćwikowe bagno” i tam siedzieli do następnego dnia tj. 2 lipca. Rano około godziny 8 zostali okrążeni przez Niemców, wśród których był jeden Czech. Niemcy, gdy się zbliżali to strzelali do nich, wtedy to zostały zabite osoby z Osuch:

Stefan Traczykiewicz, Torba Władysław, Okapiec Wojciech, Osuch Jan, Grzywna Aniela.

Gdy Niemcy zbliżyli się do pozostałych osób, kazali im się ustawić w dwóch szeregach i oznajmili im, że poprowadzą ich do wsi. Potem oddzielili kobiety od mężczyzn. Mężczyznom kazano zabrać ze sobą dzieci, ale w tym czasie przyszedł jakiś oficer i kazał dzieci oddać niewiastom, a mężczyznom polecono oddać dowody osobiste, które zostały przyniesione, a potem spalone. Ustawili mężczyzn czwórkami, powiązano ich. Potem czwórkami odprowadzono w bagno. Tam ustawiono dwa karabiny maszynowe, jeden z boku i drugi z tyłu i zaczęli do powiązanych mężczyzn strzelać. Kiedy wszyscy upadli, wtedy Niemcy chodzili i dobijali pistoletem, a na koniec rzucono 3 granaty. Wymieniona egzekucja dokonano na następujących osobach:

1. Osuch Kazimierz, lat 23, rolnik z Osuch
2. Osuch Edward, lat 20, rolnik z Osuch
3. Osuch Stanisław, lat 25, rolnik z Osuch
4. Rudnik Franciszek, lat 35, rolnik z Osuch
5. Makuch Stanisław, lat 39, rolnik z Osuch
6. Osuch Stanisław, lat 16, rolnik z Osuch
7. Osuch Jan, lat 18, rolnik z Osuch
8. Rozmyślak Maciej, lat 28, rolnik z Osuch
9. Paluch Michał, lat 45, rolnik z Osuch
10. Paluch Józef, lat 30, rolnik z Osuch
11. Osuch Żmjan, lat 17, rolnik z Osuch
12. Jabłoński Jan, lat 38, rolnik z Łukowej
13. Buczek, imienia brak, lat 30, rolnik z Chmielka

Z tych mężczyzn dwóch zostało przy życiu, gdyż podczas strzelania byli z tyłu, a kiedy ci zostali zabici na nich upadli przygniatając ich. Obaj żyją do dziś i są to: Makuch Józef i Osuch Kazimierz, którzy tę relację złożyli.

V

23 VI 1944 r. podczas akcji Strumwid II Wehrmacht dokonał egzekucji na następujących osobach:

1. Grab Aniela, lat 30, mieszkanka Osuch
 2. Grab Andrzej, lat 13, mieszkaniec Osuch
 3. Barcicka Maria, lat 62, mieszkanka Osuch
 4. Barcicki Czesław, lat 28, mieszkaniec Osuch
 5. Barcicka Zofia, lat 20, mieszkanka Osuch
 6. Solski Bolesław, lat 50, mieszkaniec Osuch
 7. Solaska Helena, lat 47, mieszkanka Osuch
 8. Matysiak Jan, lat 37, z Lublina był partyzantem
 9. Student z Lublina, nazwisko nieznane, lat około 24
- Wymienione osoby ukrywały się przed Niemcami

w zrobionym przed akcją bunkrze w pobliskim lesie. Bunkier został odnaleziony przez Wehrmacht.

Ze względu na to, że zwłoki pomordowanych osób były na powierzchni ziemi, należy się spodziewać, iż kazano im wyjść na powierzchnię i dokonano egzekucji.

VI

W lipcu 1943 r. w lasach Osuchowskich zabity został Jabłoński Jan lat 35, który za udział w partyzantce był ujęty przez hitlerowców. Przed zastrzeleniem okrutnie bity, poddawany torturom. Gdzie pogrzebany, tego nikt stwierdzić nie może.



Egzekucja mężczyzn z Osuch dokonana przez Niemców

VII

Wysiedlone osoby w dniu 2 VII 1943 zostały schwytane w lesie przez Niemców, którzy dokonywali obław. Były to niewiasty z dziećmi, których mężowie po złapaniu zostali rozstrzelani, a ich z lasu przygoniono do wsi Osuchy na plac szkolny, skąd samochodami ciężarowymi odwieziono do Zwierzyńca, gdzie przebywali 3 tygodnie. Po tym okresie zostały wywiezione do Majdanka.

Były to następujące niewiasty:

1. Makuch Franciszka lat 33 z dziećmi: Marianem 2 lata, Józefem 1 lat, Stefanią 5 lat
2. Osuch Anna lat 40 wraz z synem Józefem lat 4
3. Grzywa Anna z wnukami: Stefanem lat 1,5, Stanisławą lat 8 i Janem 9 lat
4. Osuch Maria z dziećmi: Stanisław 7 miesięczny
5. Sielezin Agnieszka lat 61 z Osuch wraz z wnukami: (Telimena?) 4 lat, Katarzyna lat 8 i Maria lat 10
6. Paluch Maria 30 lat z Osuch z dziećmi: Józefem 3 lat i Adamem 5 lat
7. Drożdziel Zofia lat 28 z dziećmi: Józefem 6 lat i Adamem 3 lat
8. Jabłońska Anna lat 31 z dziećmi: Janem lat 3, Marią lat 5, Anna lat 7, Janina
9. Krzyszycha Janina lat 33 z Osuch również z dziećmi: Janem lat 10, Kazimierzem lat 3, Maria lat 5 (obóz na Majdanku).

Oprócz tego wywiezionych zostało siedmioro dzieci bez rodziców. Są to:

1. Rozmyślak Tadeusz lat 5 – żyje
2. Szymańskich 3, brak imion – żyją
3. Kierepka Janina 10 lat – żyje
4. Osuch Lucjan 5 lat – żyje
5. Osuch Czesława 7 lat – żyje

Spisano na podstawie relacji: Makuch Franciszki i Janiny Bździuch z Osuch

Wieś PISKLAKI

I

W 1944 roku w miesiącu lipcu Niemcy urządzili łapanie we wsi Pisklakach i zaczęli przeszukiwać lasy. W wyniku tej akcji zostało zatrzymanych 36 osób (13 mężczyzn, 16 kobiet, 4 dzieci), których przetransportowano do obozu przejściowego w Biłgoraju. Z Biłgoraja wysłano więźniów do obozu koncentracyjnego na Majdanku i w Zamościu. 3 osoby zostały spalone w piecu krematoryjnym.

Na podstawie relacji Andrzeja Roja.

II

W czerwcu 1944 roku podczas akcji likwidacyjnej oddziałów partyzanckich pod Osuchami - w czasie przeczesywania lasów przez oddziały kałmuckie SS i policję zostały zatrzymane nad Tanwią 4 osoby z Pisklak, których na miejscu rozstrzelali Niemcy.

Na podstawie relacji Jana Bielańskiego z Pisklak.

Wieś SZARAJÓWKA

Represje na mieszkańcach Szarajówki za pomoc partyzantom.

I

Ob. Furgała Franciszek zam. w Szarajówce oświadcza, że w grudniu 1942 r. hitlerowcy spędzili mężczyzn z całej Szarajówki i kol. Szarajówki w liczbie ok. (30?) Wybrali spośród nich 10 ludzi i popędzili pieszo 12 km do osady Tarnogród pow. Biłgoraj. Z Tarnogrodu wywieźli ich do obozu w Majdanku. Po wyzwoleniu Lublina i Majdanka wróciło tylko trzech mężczyzn. Pozostali w liczbie 6 zginęli w obozie. Jeden zwolniony z więzienia z Biłgoraja. To samo stwierdzili: Ćwik Jan, Krzeszowiec Anastazja zamieszkali w kol. Szarajówka. Ojciec Ćwika Jana zginął w obozie, a Krzeszowiec Anastazji zginął mąż.

Jabłońska Anna w lipcu 1942 została wywieziona z dziećmi do obozu w Majdanku. Miała przy sobie 4 dzieci: syn najstarszy - 10 lat, córka - 7 lat, córka - 4 lata, 4. córka - 1 rok.

Przebywała w obozie 2 miesiące. Głodzono więźniów i katowano. Straciła w obozie zdrowie - zapadła na serce, nadwyrężyła

wzrok i słuch. Wróciła do zdewastowanego gospodarstwa.

Udzieliła informacji Jabłońska Anna zam. w kol. Szarajówka.

Rorata Kazimierz lat 43 został w lipcu 1942 r. wywieziony do obozu w Majdanku. Przebywał 8 miesięcy. Katowany, głodzony i pędzony do ciężkich prac - stracił zdrowie. Wrócił chory i wyczerpany, wkrótce zmarł.

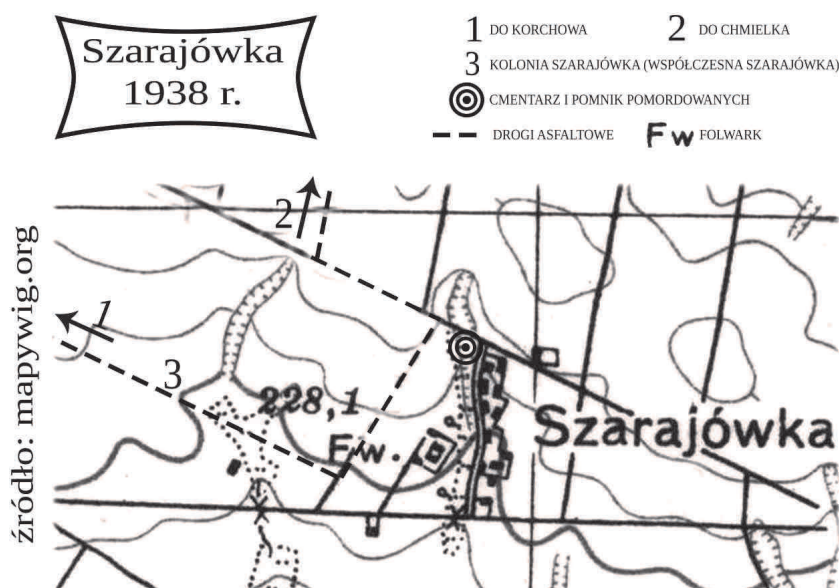
Informacji udzieliła żona Rorata Ewa lat 68 zamieszkała w kol. Szarajówka.

W lipcu 1942 r. została aresztowana i wywieziona do obozu w Oświęcimiu Kita Apolonia. Przebywała w obozie do wyzwolenia. Doznała straszliwych cierpień - straciła zdrowie. Obecnie liczy 45 lat. Mieszka w kol. Szarajówka i udzieliła informacji.

II

Pacyfikacja

W dniu 18 maja 1943 r. wczesnym rankiem wieś Szarajówka została otoczona pierścieniem żandarmerii, który stopniowo zacieśniano w stronę wsi. Po zamknięciu wszelkich możliwości ucieczki mieszkańców wsi, zaczęto pacyfikację. Spędzono wszystkich mieszkańców w jedno miejsce i zaczęto prowadzić badanie, żądając wyjaśnień co do partyzantów. Przy tym bito okrutnie mężczyzn, a zwłaszcza Podсадę Konstantego, Paczwę Teodora i innych. Następnie oddzielono dzieci i skierowano w stronę Tarnogrodu. Po pewnym czasie dzieci z powrotem wrócono - oddano rodzicom i rodziny popędzono w kierunku zabudowań wsi. W poszczególnych domach i budynkach gospodarczych zamykano i podpalano. Inwentarz i sprzęty gospodarcze rabowano, zabierano na fury i wieziono w stronę Tarnogrodu. Po wykonaniu pacyfikacji i odejście oprawców, ludność okolicznych wsi przybyła i zastała zgłiszczona i dopalające się ciała mieszkańców Szarajówki. Zebrane zwłoki pogrzebano w zbiorowej mogile przy końcu wsi



Mapa Szarajówki opracowana przez Kamila Kopere

Szarajówka. Obecnie stoi w tym miejscu pomnik.

Z masakry tej ocalało się trzech chłopców w wieku od 18-22 lat. Są to:

1. Wierzbowski Władysław zam. obecnie w Chmielku cz. I
2. Podsada Michał zam. obecnie w ZSRR
3. Podsada Andrzej zam. obecnie w ZSRR

Ukryci w stodole w schronie – podczas gdy stodoła płonęła w kłębach zasłaniającego dymu zdołali wyczołgać się niezauważeni przez hitlerowców na pole między zboża.

Informacji udzielił Wierzbowski Władysław zam. w Chmielku cz. I

III

W jesieni 1943 r. został zabity na terenie wsi Książpol – Biłgoraj Legieć Maciej przez żandarmerię hitlerowską. Był partyzantem. Siostra oświadczyła, że po zabiciu brata żandarmeria przyjechała do ich domu w Szarajówce, przeprowadzili rewizję, a przy tym bili pałkami gumowymi i kolbami. Na skutek pobicia matka w kilka dni umarła.

Udzieliła informacji Serada Aniela zam. w Szarajówce

IV

W sierpniu 1943 r. na terenie kol Szarajówka niespodziewanie pojawiła się żandarmeria i policja ukraińska w liczbie około 20 osób. Złapali trzech młodych chłopców: Senderka Jana, Senderka Józefa (braci) i Krzeszowca Józefa – wszyscy trzej z Szarajówki. Zapędzili ich do zabudowań gospodarza Paczwy Macieja (do stodoły) i tu okrutnie znęcali się nad nimi, bili, katowali kolbami i cepami. Braci Senderków pozostawili następnie przy drzwiach w stodole, a Krzeszowca Józefa bili dalej aż zamienił się w kupę krwi i mięsa. Zamordowanego trupa zabrali ze sobą i odjechali w stronę Tarnobrodu.

Informacji udzielił Senderek Jan lat 42 zamieszkały w kol. Szarajówka.

W czerwcu 1943 roku w lasach Osuchowskich został zabity jako podejrzany o udział w partyzantce Kożuszek Jan lat 24.

Udzielił informacji szwagier Senderek Jan.

W miesiącu czerwcu 1943 r. Stanisław Rorata został zabity w lasach Osuchowskich. Był partyzantem.

Udzieliła informacji Rorata Ewa – matka lat 73 zamieszkała w kol. Szarajówka

Wieś CHMIELEK

I

Pacyfikacja

Przed żniwami w lipcu 1943 roku Niemcy przystąpili do wysiedlenia mieszkańców wsi Chmielek. Ludzie spodziewali się tego i dlatego pobudowali

schrony, w których ukrywali się całymi rodzinami. Nocowano także w zbożach. Wiedzano powszechnie, że wysiedlani będą tylko Polacy, Ukraińcy będą mogli pozostać. Z tego powodu zapobiegliwi Polacy wyrabiali u miejscowego popa dokumenty potwierdzające wyznanie prawosławne. Wysiedlenie nastąpiło w drugiej połowie lipca 1943 r. Gdy po nocy ludzie ze zbóż i schronów wrócili do swoich zabudowań na śniadanie i do porannego obrządku w obejściu, we wsi byli już Niemcy, obstawili ją. Nie można było wrócić po odzież zostawioną w polu. Wśród wysiedlających byli żołnierze SS i z okolicznych wsi ci, którzy przeszli do Niemców, znali doskonale j. polski. Niemcy wstępowali do gospodarstw i pytali, czy miesza w nim Polacy, czy Ukraińcy. Kazano zabrać dokument, a Polakom nie więcej niż 10 kg bagażu. Wszyscy mieszkańcy Chmielek cz. II zgromadzeni zostali na placu i otoczeni uzbrojonymi Niemcami. Na środku placu Niemcy wyczytywali Polaków pochodzenia ukraińskiego i zwalniali ich do domów. W końcu zostały tylko 3 rodziny Polaków pochodzenia polskiego. Ci, co zostali zatrzymani i przeznaczeni do wysiedlenia (w sumie 11 osób) to: Kaniuk Antoni ur. w 1897 r. i jego dwaj synowie Kaniuk Lucjan ur. w 1924 r. oraz Kaniuk Jan ur. w 1936 r.

Druga rodzina z wysiedlonych: to: Rój Weronika ur. 1907 r. i dzieci: Rój Jan ur. w 1925 r. oraz Rój Aniela ur. w 1928 r. Trzecią wysiedloną rodzinę stanowili: Buczek Franciszek ur. w 1895 r., jego żona Buczek Maria ur. w 1900 r. oraz zięć Szwed Franciszek ur. w 1910 r., jego żona Aniela (1914 r.) i ich dzieci Edward (1937 r.), córka Helena (1940 r.).

Przeznaczonych do wypędzenia wsadzono do samochodu i szczelnie zamknięto. Najpierw zawieziono na kilka dni do obozu przesiedleńczego w Zwierzyńcu, potem w Zamościu. Zgromadzono tam ogromną ilość ludzi. Cierpieli głód, znosili nędzę. Obóz był dobrze strzeżony przez żołnierzy w strażnicach. Baraki były potwornie zawszone, brakowało wody, którą więźniowie czerpali ze studni, a w końcu z błota. Raz dziennie wydzielano kromkę chleba z marmoladą. Ludzie spali na nagich, piętrowych pryzkach.

Z Zamościa według listy kierowano wysiedlonych do Majdanka k. Lublina. Tam zatrzymano na tydzień czasu. Stąd, co kilka dni odchodził transport z ludźmi do Niemiec. W pociągu wieszono o głodzie aż do samej granicy. Pociąg z wysiedlonymi z Chmielka dotarł do Stargardu k. Szczecina. Był tam punkt zborny, skąd specjaliści zabierali grupy wysiedlonych do folwarków. Zaczęto pracę 50 km od Szczecina w folwarku zarządzanym przez Niemca Holza. Pracowano ciężko za skąpe racje żywnościowe. Ludzie chodzili ciągle tylko w tej odzieży, w której wyjechali z domu. Dopiero pod koniec zimy 1945 r., gdy zbliżał się front, Niemcy uciekli, a Polacy zaopatrzyli się w odzież i żywność

po Niemcach i przygotowali powrót do kraju. Wracano wozami zaprzężonymi w woły przez 3 tygodnie, przebijając się przez front, aż do Drawska. Stąd przekazano uciekinierów na pociąg. W ten sposób dotarli do Zwierzyńca, a stamtąd wynajętą furmanką do domu. Wrócili wszyscy.

Relacja: Szweda Franciszka, Gancarz Anieli z Chmielek

II

Ukrainkę, Kaniuków: matkę i siostrę Marysię Kaniuk, żandarmeria rozstrzelała w Łukowej pod barakami – dobrze nie pamiętam, w 1941 czy 1942 r. Widział świądek Adam Kozyra z Łukowej, jak się wyrwał także Gałka Maciej, który również został rozstrzelany. Ukraińców, starszków małżonków Sikorów ze wsi Chmielek II żandarmeria rozstrzelała za nieoddanie kontyngentu w Łukowej pod barakami. Sikorowie byli wezwani przez policję granatową i siedzieli na ławce przed posterunkiem policji w Łukowej – nawet policjant Stachowski mówił im: – „Czego siedzicie?” „Bo nas wezwano – odpowiedzieli”. Wieczorem nadjechała pijana żandarmeria i zastrzelili ich bez sądu – bez wyroku, tak jak i wielu innych.

III

Pomoc Żydom

Wróbel Józef urodzony w 1912 r. narodowości i obywatelstwa polskiego, zamieszkały we wsi Chmielek cz. II, w roku 1943 ukrywał 4 Żydów przez okres 3 miesięcy. Zabezpieczył ich pobyt, dostarczał żywność. Żydzi byli ludźmi nietutejszymi (?). Dalszy los niewiadomy.

W tym samym czasie podobnej pomocy 8 Żydom udzielił Żemła Grzegorz ur. w 1915 r. narodowości i obywatelstwa polskiego, zamieszkały we wsi Chmielek cz. II.

Kaniuk Antoni ur. 1887 r. narodowości i obywatelstwa polskiego zamieszkały Chmielek cz. II w r. 1943 wraz z synami Lucjanem i Janem ukrywał rodzinę Żyda (Jajny?). Były to: jego żona, dwie córki, zięć i dziecko. Żydzi ukrywali się w słomie znajdującej się na oborze. Potem uciekli, dalszy los niezany.

Ob. Bielański Jan ur. 1916 r. także narodowości i obywatelstwa polskiego, zamieszkały we wsi Chmielek cz. II ukrywał i żywił w 1943 r. przez 2 tygodnie 4 żołnierzy radzieckich zbiegłych z niewoli niemieckiej. Zeznający nie pamięta już nazwisk ukrywanych Rosjan, którzy odeszli w dogodniejszym czasie i więcej nie dali o sobie znaku życia.

Wieś ŁUKOWA

I

Niszczenie bibliotek

Należy nadmienić, że nie tylko szkoła miała bogatą bibliotekę i inne pomoce naukowe. Nie mniejszą bibliotekę miał ksiądz proboszcz Ludwik Liwerski, którą po je-

go aresztowaniu (1940 roku) Niemcy również zniszczyli.

Szkoła w Łukowej (budynek szkolny) przechodził różne koleje i spełniał różne zadania jak: stacjonowało tu wojsko niemieckie, później był tu magazyn zbożowy, w 1943 r. mieścił się tu szpital wojskowy, a potem jeszcze od czasu do czasu stacjonowały specjalne ekipy wojsk niemieckich do likwidacji Żydów i dlatego co nie zrabowała żandarmeria to zniszczyły inne formacje.

Informacji udzielił: Józef Kolaszyński były kierownik szkoły, Adam Kozyra i Wenek Józef.

II

Kontyngenty

Za nieoddanie mleka do mleczarni Niemcy zabrali ostatnią krowę od ob. Wenka Józefa, który miał dwóch maleńkich synów: Józio ur. 17.02.1939 r. i Piotruś ur. 11.02.1940 r. Wówczas zabrano ostatnie krowy u Obywateli: Roja Michała, Bielańskiego Andrzeja, Roja Antoniego – z Łukowej I.

III

Kradzież dzwonów

Księżom Michowi i Serwińskiemu robiłem buty. Pewnego razu zastałem ich bardzo smutnych. Kiedy zapytałem o przyczynę ks. Micha, administratora parafii Łukowa, powiedział: „Panie Wenek, Niemcy zabrali nam dzwony!” – „Wszystkie?” zapytałem. „Nie sygnaturę zostawiono!” – odpowiedział.

Dopiero około 1962 r. wspólnym wysiłkiem całej parafii (dawano ofiary i materiał) odlano, poświęcono i założono nowe dzwony „Józef” i „Maryja”. Niemcy zabrali nam, o ile dobrze pamiętam dzwony imieniem „św. Jana” i „św. Franciszka”.

Relacja: Wenka Józefa

IV

W dniu 3 lipca 1943 roku Niemcy wysiedlili całą wieś Łukowę – pozostali przeważnie ci, którzy schowali się w lesie – samotnie albo część rodziny. Mach Jan z synem i córką Katarzyną zostali wysiedleni, a jego żona Aniela z d. Kowalik została na Słobodzie z córką wówczas dzieckiem, Janiną. Kiedy partyzanci spalili gminę i na posterunku Ukraińców – faszystów – policjantów, to drugiego dnia (ostatnie dni października 1943 r.), zabili na Słobodzie Stafisz Marię lat 58, syna Józefa lat 22 oraz Krynia Ludwika lat około 30 oraz w Łukowej Majkowskiego Jana lat około 35.

Następnie spalono zabudowania całej Słobody (dokonali tego Kałmucy na rozkaz Dolla):

1. Stafisz Jana (żonę zabili)
2. Wazio Wawrzyńca
3. Padiaska Kazimierza
4. Macha Jana
5. Turczyniaka Jana

Na podstawie relacji: Stanisława Buczka, Władysława Pluskwy, Józefa Wazio, Kazimierza Padiaska.

DZIECI WOJNY - WSPOMNIENIA WYSIEDLONYCH CD.

Relacja Jana Krynia z Łukowej III

Wysiedlali nas. To było 3 lipca. Wszystkich domowników wyprowadzili na drogę. Można było wziąć ze sobą 10 kg, a ja 6 letnie dziecko co tam miałem brać. Przeważnie chleb zabierali ludzie, taki zasuszony. Prowadzili nas aż do Chmielka do majątku. Tam była taka duża stodoła, gdzie mieliśmy nocować, ale jak się okazało zaraz samochody podstawili, takie ciężarowe. Niby już samochód był pełny i my się nie zmieściliśmy, ale na samochód wszedł Niemiec, zaczął tłuc kolbą. Bardzo ciasno było, ale miejsce się dla nas zrobiło. Zawieźli nas do Zamościa. Tam był już obóz ogrodzony kolczastym drutem. Baraki, prycze były, na nich kładliśmy się spać. Były też jakieś podłogi. Jak zapamiętałem po tych podłogach po kilku dniach takie wszy chodziły, że aż strach było chodzić. W tym obozie w Zamościu byliśmy do początku sierpnia. Codziennie wychodziliśmy na apel. Jak ktoś zmarł to i zmarłego trzeba było wynieść. Jak pamiętam to był taki jeden przypadek, że ktoś zmarł. Nie znałem tego człowieka.

Ganialiśmy po obozie, jak to dzieci. Co jakiś czas podlatywałem do mamy i prosiłem o skórkę tego suchego chleba. Dawła, ale po troszku, aby na dłużej starczyło. Gotowali dla nas zupę z brukwi, niby jadalna brukiew przecież, ale zupa była straszna. Moja najmłodsza siostra Emilia już zaczęła chodzić i w obozie przestała z braku jedzenia. Zapamiętałem jak bili takiego jednego do tego stopnia, że miał ciało poodbijane, że wyglądało jak jedna rana. Rodzice polewali go wodą, aby mu ulżyć. Starsi mówili, że przestuchiwali go i pytali, czy nie miał do czynienia z partyzantką.

Mój sąsiad Wróbel Józef, był partyzantem, dostał się do tego obozu też. Mieli go na liście. Też go zabrali i już nie wrócił do baraków. Bili go strasznie, aż oddał życie.

Nas trzymali dłuższy czas, bo byliśmy liczną rodziną z dziećmi i zastanawiali się czy wrócić nas do domu, czy wywieźć do Niemiec. Zdecydowali że nas wywiozą. Najpierw do Lublina. Zrobili dezynfekcję odzieży w wysokiej temperaturze, strzyżenie, kąpiel. Te wszy wszystkie zlikwidowali. Po paru godzinach, przeszliśmy na drugą stronę, tam gdzie było czysto. Kazali nam się ubrać w nasze, te zdezynfekowane ubrania. Jak w Lublinie gonili nas na stację, to akurat wiśnie były na drzewach. Ludzie dawali nam te wiśnie, dopóki żołnierz nie krzyknął, aby nie dawać. Później załadowali nas na pociąg towarowy i tym pociągiem jechaliśmy nie wiem dwa, czy trzy dni.

Zapamiętałem jak już w Niemczech pociąg się zatrzymał, takie były duże jabłonie, gałęzie zwisały, owoce już dojrzewały, bo to już sierpień. Każdy kto mógł dosięgnąć zrywał te jabłka, nikt nie zabraniał. Wyładowali nas z tego pociągu, podjeżdżały furmanki i zabrali nas do baora. Tam byliśmy krótko, pewnie ze trzy miesiące. Następnie przewieźli

nas w inne miejsce, nie pamiętam jak się ta miejscowość nazywała. Właścicielka Niemka była panną i miała duże, niewykorzystane mieszkanie. Z nią żeśmy razem mieszkali, rodzice gotowali na kuchni. Niemka gotowała nam budyń, słodki, nie byliśmy do słodkości przyzwyczajeni, ale nawet Emilia trochę odżyła i zaczęła znowu chodzić. Rodzice chodzili do roboty w polu, do rwania lnu. W Łukowej uprawiliśmy len, to Rodzice mieli wprawę. W zimie nie było roboty w polu, tylko jakieś omłoty w majątku. Ja bawiłem się z dziećmi niemieckimi, nawet nie miałem odzieży. Przychodziła z sąsiedztwa taka dziewczynka, Andsi miała na imię. Jak spadł śnieg, a ja nie miałem butów, to ona poszła do swojej mamy i ta dała mi buty i skarpety. Już mogłem po śniegu chodzić i się z Andsi bawić. Przez zimę byliśmy w tym miejscu, a później przewieźli nas do Regulim, tak jakoś mi się nazwa miejscowości kojarzy, ale nie jestem pewien. Tam rodzice pracowali w obozie przy obłudzie krów: dojeniu, karmieniu. Czasami ojciec mnie zabierał ze sobą i napuszczał wodę. Włączałem silnikiem elektrycznym i cieszyłem się, że mogę to robić. U nas w Polsce nie było ani prądu, ani maszyn.

Wojna się skończyła, wyzwolili nas Amerykanie, potem przejęli nas pod angielską strefę i przewieźli nas do obozu przejściowego Delmonhorst. Tam chodziliśmy do szkoły od 31 lipca do 15 stycznia.

Ojciec nie chciał jeszcze wyjeżdżać, ale my chcieliśmy wracać.



Świadectwo szkolne Jana Krynia, Delmonhorst 1946

16 stycznia 1946 roku pociągiem osobowym wyjechaliśmy z Niemiec. Dojechaliśmy do Krakowa, przesiedliśmy się i dojechaliśmy do Łańcuta. Nie wracaliśmy do domu bezpośrednio bo w lasach grasowały bandy. Rodzice mieli w Łańcutcie znajomych, mieszkaliśmy u takich kobiet do wiosny. Tu przyjechać, to przecież nic nie mieliśmy, a tam, nie wiem czy za odpłatnością, czy jak, ale jakoś przeżyliśmy. W Łańcutcie też chodziłem do szkoły, do pierwszej klasy. Przed Wielkanocą wróciliśmy do Łukowej. Przez lasy przeprowadził nas jakiś mężczyzna, który pewnie miał jakieś znajomości, bo te bandy, by nas obrabowały. Ledwo wjechaliśmy do lasu już wyskoczyli i chcieli nam wszystko zabrać, chociaż nie było co zabierać, to ten przewodnik coś tam z nimi pogadał i przeprowadził nas przez te lasy za Tarnogrodem.

Gospodarstwo było bardzo zniszczone, okna powybijane, deskami zabite. Ukraińcy mieszkali u nas, jak się wojna skończyła oni też uciekli stąd. Najpierw mieszkaliśmy u ciotki. Przez lato jakoś tam było, w zimie zimno, woda we wiadrze

zamarzała jak stała w mieszkaniu. Warunki były bardzo ciężkie. Ja nawet poszedłem do szkoły w Łukowej. W październiku i listopadzie chodziłem boso do szkoły. Pamiętam jak spadł śnieg to przyleciałem boso ze szkoły. Potem ojciec przybił coś do starych butów i miałem jakieś drewniaki. Ciężko było, bardzo ciężko. Ludzie dali nam kaszy gryczanej, mąki przecież nie było. To formowaliśmy takie bułeczki i w grubce przy piecu piekliśmy. Dziewczynki z Rakowca, co ich rodziny nie były w Niemczech, to miały w szkole chleb z masłem. Jedna z nich nie zjadała tych kanapek, zostawiała. To ja zjadałem ten chleb, aby przeżyć. W następnym roku zebraliśmy trochę żyta, mąkę zrobiliśmy to i chleb się piekło. W każdym domu chleb się piekło i było coraz lepiej. Ciotka nasza była na Przymiarkach, jak nas wysiedlili, to zabrała naszą krowę. Jak wróciliśmy, to nam krowę oddała, mieliśmy mleko, ser. To już było dużo. Potem odchowaliśmy drugą krowę, trawy nie brakowało, bo tu wszędzie były ugory, paść było gdzie, i jakoś się przeżyło.



Zdjęcie wysiedlonych mieszkańców Łukowej „Dzieci Zamojszczyzny”, 1983 r.

Relacja Franciszki Szostak z domu Ćwik z Łukowej IV

Przed wojną byłem beztroska. Z Rodzicami odwiedzaliśmy dziadków, bawiliśmy się z rówieśnikami, wszędzie się ganiało, grało w piłkę. Wszystko było dobre.

W czasie wojny część młodszych mężczyzn od razu wywieźli do Niemiec, część wróciła. Nasi schowali się w takim schronie. Jak w stodole są zapola na zboże, to pod deskami był schron, przykryty snopkami, odchyłało się deskę i tam wchodziło. Nawet jak Niemcy szukali nie mogli dojrzeć, że coś tam jest. Niektórzy mieli schrony w polu wykopane i przykryte deskami. Odchyłało się kłapę, na której były warzywa, albo często len maskujący wejście.

Tu niedaleko była rodzina, która miała dwu synów, w wieku moim i mojej siostry. Mieli jeszcze 5 letnie dziecko. Oni schowali się w lesie w schronie. Niemcy przeszli, nie znaleźli ich, ale to małe dziecko zaczęło płakać, Niemcy się wrócili. Zabili od razu wszystkich. Pięć osób. Bardzo to przeżyłam, przecież bawiliśmy się razem.

Wydoroślałam szybko, przestałam być beztroskim dzieckiem

jak tylko Niemcy przyszli. Dziadzio i tatuś się chowali, a mi nie chcieli powiedzieć gdzie. Powiedziałam, że nie wydam kryjówki choćby mnie zabić mieli. Powiedzieli mi i sekretu dochowałam.

Ciągle ten strach. W nocy trzeba było się chować i w dzień trzeba było się chować. Przeżywało się każdy dzień, obławy były. Szło się do szkoły. Niemcy jechali, to nas zwalniali, kazali iść do domu i się schować. Niektórzy wyjeżdżali do innych wsi, uciekali do lasu. Moja rodzina została w Łukowej i tutaj się chowaliśmy. Rodzice rozmawiali, że Niemcy napadli na Polskę, partyzanci się bronią, ale to mało. Nie było wyjścia, jakoś trzeba było żyć.

Później jak Niemcy na Rosję szli, to byli zakwaterowani prawie w każdym domu. W stodołach były ich konie. U nas mieszkał lekarz, nic złego niby nie robił. Niemcy do naszego domu nie przychodzili.

Przed wysiedleniem ludzie mówili, że wysiedlą nas do Niemiec, że zawiozą nas do Bełżca. Tam podobno Żydów mordowali, i nas tak jakby mieli tam wywieźć. Przed samym wysiedleniem wieś obstawili, dobrze zrobić kto wcześniej zdołał

uciec. Później powiedzieli, kiedy będzie wysiedlenie. Rodzice przygotowali tobołki, żeby wziąć ze sobą. Był przecież 3 lipiec, gorąco, a my byliśmy poubierani na cebulkę. I sukienki i koszule, swetry i palta na wierzchu. Wpadli Niemcy „Raus, raus, zabierać się, zabierać się”. Ja nie rozumiałam, ale rodzice szli i my za nimi. I w sumie wygnali nas z domu, w tym właśnie co mieliśmy na sobie. Wyszliśmy na drogę, mój Dziadzio umiał trochę po niemiecku, bo był dwa, czy trzy lata w niewoli niemieckiej w czasie I wojny światowej. Coś pokazywał Niemcom, że jest strażakiem, że jest potrzebny. Oni powiedzieli: „Zostawcie wszystko, bo wy wróćcie, tylko sprawdzą wasze papiery i wróćcie”. Okazało się, że nie wróciliśmy. Tylko prababcie, która miała przeszło 80 lat zostawili w domu. Nie dali nam zabrać tych tobołków, ale Mamusia się wróciła i zabrała.

Zagnali nas na plac przed kościołem, gorąc był straszny, do późna nas tam trzymali. Dużo było ludzi, nie wiem ile, ale dużo. Jedni płakali, ale już właściwie na śmierć ludzie byli przygotowani. Miałam 9 lat, bałam się strasznie, trudno mi było się pogodzić z myślą, że w tym wieku muszę iść na śmierć.

Faktycznie strażaków część wypuścili, ale nie sprawdzali dokumentów, tylko kto pierwszy się zgłosił, to zostawał z całą rodziną.

Podjechały na plac samochody, zaganiali ludzi na te samochody i wywozili. Myśmy się nie zmieścili, to wtedy Niemcy obstawili nas wkoło i kazali iść. Szliśmy w stronę Chmielka. Jak nas prowadzili, to koło szkoły młody chłopak, Krzyszycha się nazywał, starał się uciec, bo wydawało się, że może nie bardzo pilnują, ale od razu na naszych oczach go zastrzelili.

Szliśmy może godzinę, może więcej na plac, na którym nam kazali czekać. Wjechały samochody i zaganiali na te samochody. Tatusia i Dziadzia razem, a nas z Babcią i Mamusią na drugi samochód. Rozpaczaliśmy, że nas rozdzieli.

Zawieźli nas do Zamościa. Pamiętam taki Kurowski z Nowej Wsi, partyzantem był, złapali go wcześniej, a później przywieźli jego rodzinę. Powiesili go jak na szubienicy i bili, krew ciekła. Nam wszystkim kazali na to patrzeć. Strasznie to przeżyłam.

Obóz był duży, poprzegradzany, baraki były, a w nich, niby nie prycze, tylko takie stoły poszerzone. Na tym spaliśmy, co kto miał, to podkładał pod głowę i spał. Czasami w nocy syrena i jak mówili - capstrzyk. Trzymali nas dwie godziny, sprawdzali, i kazali się rozjeść. Byliśmy tam może trzy tygodnie.

Jak już wywozili to czytali wszystkich. Jednym kazali zostać, a innych zabierali. Każdy był w strachu, że zabierają na śmierć. Załadowali nas w bydłce wagony, pozamykane. Warunki były straszne, załatwiliśmy swoje potrzeby w kącie wagonu. Ludzie się modlili, płakali, pocieszali się nawzajem. Starsi mówili, że do Bełżca, ale okazało się, że do Majdanku.

W Majdanku podzieli nas; mężczyzn oddzielnie, kobiety oddzielnie, dzieci oddzielnie. Później można było matkom zabrać dzieci. Potem kazali się rozebrać do naga i mówi, że pójdziemy do łaźni. Baliśmy się, że na spalenie. Staliśmy tak może z go-

dzinę i stali, aż w końcu poszliśmy do łaźni. Ubrania wszystkie zabrali. Strasznie nam było wstyd tej nagości, zastaniatyśmy się jak tylko było można. Z łaźni się wyszło, oddali ubrania, ale trzeba było szukać, bo to spakowane było razem. Jedni byli już ubrani, inni chodzili jeszcze nago. Straszne.

Jedzenie było okropne. Pamiętam jak jeden chłopiec, zjadł i poszedł jeszcze raz, myślał, że go nie pozna ten, co wydawał jedzenie. Poznał go i strasznie zbił. Chleba było bardzo mało. Raz był podobny do chleba, raz troczeniasty. W Majdanku byliśmy dłużej. Były tam strażniczki gorsze od mężczyzn, opowiadali niektórzy jak dokuczały dziewczynom.



Łaźnia obozowa

Jak nas wywozili zdawało się, że na pewną śmierć. Część starszych zostawiali mówili, że do domu wrócą, ale przecież pomarli. Wieźli nas znowu w bydłkach, zamkniętych wagonach. Dopiero jak wjechaliśmy do Niemiec, to w czasie postoju otwierali drzwi, ale oczywiście strażnicy stali. Ludzie przynosili picie, jedzenie. Jak stał jakiś lepszy człowiek, to pozwolił coś podać, a jak gorszy, to jeszcze ten co przyniósł to dostał.

Wywieźli nas do Frankfurtu. Byliśmy tam może dwa tygodnie. Samochodami przewieźli nas do Świebodzina. Do Świebodzina przyjeżdżali gospodarze i wybierali sobie: tego, tego i tego wezmę.

Nasz gospodarz był gestapowcem. Niedobry był. Miał chlew, w nim konie, krowy, świnię, a na górze takie pomieszczenie, z oknami nad posadzką. Tam nas zakwaterowali. Przynieśli zimne kartofle do jedzenia. Głodni byliśmy bardzo, to się jadło. Rodzice pracowali w polu, nas też trochę brali na pole. Pastyśmy gęsi, przeważnie ja. Gospodarz miał 20 krów. Nas było dwie: ja i moja siostra i rosyjski chłopiec. Paśliśmy te krowy w trójkę. Jedna z tych krów była ślepa i bardzo nam uciekała. Biegliśmy za nią i płakaliśmy. W niedzielę tatuś nie pracował na polu, to on nas wyręczał w pasieniu krów.

Nasz Niemiec nie lubił Polaków, zawsze dawał nam gorszą robotę. Ale jak Niemcy poszli na Ruskich, to on poszedł na front i zginął. Gospodyni różnie nas traktowała. Czasami była nawet niezła. Starliśmy się, aby, na nas nie krzyczała, bo nas nie biła. Później poprosiliśmy, żebyśmy sami mogli sobie gotować. Dali nam kartki i gotowaliśmy sami. Na tym

strychu, gdzie mieszkaliśmy była też spiżarnia i pasza dla bydła. Tatuś brał jęczmień mielony, wydychał plewy i oście, jak to w jęczmieniu, i to się gotowało. Nawet to było dobre. Później jak mieliśmy kartki, przywozili chleb, tam pracował Polak i tatuś się z nim zapoznał. Ten Polak dawał nam często dodatkowy, normalny chleb. Niech suchy ten chleb, ale był. A jak się urodziła siostra, Mamusia nie chodziła już na pole, pracowała już w oborze z Polką, która za Niemca wyszła. Dawała nam ta Polka mleko i kazała chować do takiej dziury w słomie, aby gospodyni nie widziała. Szybko miałyśmy to mleko wypić.

Zanim przeszedł front Niemcy wyjechali, został tylko jeden właściciel piwiarni. To jak przyszli Rosjanie zastrzelili go. My siedzieliśmy w piwnicy. Weszli Rosjanie i powiedzieli, że Niemców już nie ma, tylko oni są, ale prędko trzeba uciekać, bo blisko jest front. Na drugi dzień zorganizowali konie,

wóz i jechaliśmy do domu. Wyjechaliśmy 2 lutego. W lipcu urodziła się nam najmłodsza siostra. Miała pół roku. Gdzie mogliśmy, tam nocowaliśmy. Konie nam chcieli zabrać, ale dziadzio prosił, że małe dzieci, żeby zostawić. I nie zabrali. Jak jechaliśmy przez Poznań, to jeszcze kule świstały. Ludzie leżeli zabici na ulicy i konie. A już koło Wisły, same trupy, żadnych budynków. W końcu zobaczyliśmy światło w polu. Dali nam przenocować, siostra już była siniutka, taka zmarznięta, ale rozcierali, rozgrzewali i dało się ją uratować. Na koniec lutego przyjechaliśmy do domu. Prababcia przeżyła, chowała się w grobowcu jak było trzeba. Krowy nie mieliśmy, ale na początek konie były, wóz był. Ludzie przychodzili, przynosili co kto mógł. Dało się przeżyć.

Długo sniły mi się po nocach koszmary, że nas łapią, że nas szukają, że zabiorą rodziców. Czuło się strach.

Relacja Marianny Peć z domu Giza z Łukowej III

Przez tydzień ludzie w Łukowej rozmawiali między sobą, że będzie wysiedlenie. Każdy się martwił, co to będzie. Nie pamiętam dnia, lecz wiem, że było to w 1943 r. Miałam wtedy 10 lat, skończyłam 3 klasę. Nikt nie otrzymał świadectwa, ponieważ miesiąc przed wysiedleniem zamknęli szkołę, w której mieszkali niemieccy żołnierze. Wieczorem do domów łukowskich przychodził sołtys i mówił, że do ręki można wziąć 10 kilo nie więcej i wychodzić w pół do piątej rano na drogę. Staliśmy na wprost Iwańca. Inni gromadzili się pod kościołem, koło cmentarza Kolonia Łukowa, a pozostali na placu, gdzie teraz stoi sklep Delikatesy Centrum. Przyjechał Niemiec i dwóch innych, którzy wyczytywali kto może zostać. Wyczytali Iwańca, ojca Franciszka, bo był on wójtem (został on z synem i żoną), Lewańskiego Wawrzyńca z rodziną, bo był w GS-sie zaopatrzeniowcem. Gdy z rana odchodziliśmy z domu wypuściliśmy konia, krowy, świnię, aby nie pomierały z głodu. Z całej Łukowej dołączyły do nas grupy i gnali nas do stodoły, która znajdowała się w Chmielku. Była ona bardzo duża - „dworska”. Zagnali nas i zamknęli. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że nas wypuszczą. Jak kto czekał na wywózkę, to rodziny przynosiły po bułce chleba, coś do zjedzenia, chmieleckie rodziny również. Niemcy otwierali stodołę i czytali po nazwisku dla kogo to. Godzinę przed naszym odjazdem Bartkowa, tak ich nazywali, a miała nazwisko Osuch przyniosła siostrze chleb, dała i poszła. Za nią przyszedł Poluga Jan, był on kierownikiem mleczarni, siostrze przywiózł na rowerze chleb, a siostra nazywała się Grzyb Katarzyna, pojechał. Za pół godziny otwierają stodołę i każą nam się patrzeć. Patrzę, a tam gonią Polugę i Bartkowe, co przynieśli chleb. Przegnali ich za stodołę, ze sobą oni nieśli szpadle na ramieniu. Nas zagnali w kąt i zamknęli stodołę. Mój tata mówił, żebym poszła pomiędzy deskami zobaczyła co oni robią. Gdy poszłam, bo mnie tata wyprawił, zobaczyłam jak kopią dół. Jak wróciłam i powiedziałam to siostra Bartkowej bardzo płakała. Każdy wiedział na co oni szli ze szpadlami. Bar-

dzo szybko ten dół sobie wykopali i od razu maszynowym karabinem ich zastrzelili.

Następnego dnia podjeżdżały niemieckie samochody. Ja wraz z mamą, tatą i młodszą siostrą jechałam ostatnim samochodem. Wieźli nas tędy na Oleszyce przez Lubaczów, do pociągu. Załadowali nas do pociągu i staliśmy tam. W pociągu na słońcu było strasznie gorąco, każdy machał chustkami. Przyszły siostry zakonne i przyniosły kawę. Poprosili Niemców, aby otworzyli pociąg. Otworzyli i dawali tylko dzieciom i temu kto był mocno osłabiony. Nie wszyscy mieli kubki, żeby się napić. Kto miał ten się dzielił. Gdy się napiliśmy wagon zamknęli i poszli do następnego. Z rana ruszyliśmy i wieźli nas pod Lublin. Wywozili nas pociągami bydłocymi zamykanymi na szynę. Mieliśmy tylko małe okienko, przez które mogliśmy oddychać. Było wtedy bardzo gorąco. Zawieźli nas do Lublina, tam nam kazali wysiąść i gnali nas do łaźni. Dali worki każdej rodzinie, żeby się rozebrać do goła i schować te 10 kilo. Wszyscy stali goło: chłopcy, baby, dzieci. Nam się udało, bo nie kazali już kąpać dzieci, ponieważ 2 małych dzieci zmarło, bo puszczały zimną i gorącą wodę. Pieniądze i wszystkie drogocenne rzeczy kazali oddać. Starszym dali żydowskie koszule, Żydów spalili. Była dobra dziewczyna, co kąpała i powiedziała mojej mamie, żeby nie pakowała wszystkiego do worka, tylko założyła na dziecko, aby mieć się w co ubrać. Gdy nas wykąpali, zabrali wszystko do magazynów, a nas gnali na pole do baraków. Postawili nas w czwórki i kazali odliczać. Pytali: „Może ktoś jest chory i chce iść do szpitala”. Kowalczyk Szymon, starszy człowiek mieszkał koło Iwańca, zgłosił się, że chory. Nam kazali się rozejść, a jego wzięli i wepchali do ogrodzonego deskami pod gołym niebem „szpitala”. Ja chodziłam patrzeć, czy on żyje, bo deszcz padał, a on pod gołym niebem siedzi. Przez tydzień był, a potem umarł. Na drugi dzień odłączyli chłopów, młodych chłopaków, osobno od rodziny na ślectwo. Ja byłam taki mały „szpicel”. Mama kazała pójść zobaczyć, czy tata jest tam w czwórkach. Nie mogłam poznać taty, lecz rozpoznałam mo-

jego sąsiada Kozyrę Franciszka, którego spytałam gdzie tata. On odpowiedział, że obok stoi. Tata mi kazał wracać do swego baraku. Na tym śledztwie bardzo bili, katowali i wyrzucali oknem. Patrzyli, czy się rusza. Gdy się ruszał brali i z powrotem katowali. Ja widziałam, stałam obok, dziwię się teraz bardzo, że mnie nie zabili. Teraz mam lęk, że ja tak się nie bałam pójść. Był taki Niemiec, który obserwował z góry co się dzieje. Na apelu stawiali nas w czwórki i kazali nam się patrzeć, jak wieszają ludzi. Na każdym polu stała szubienica i wieszali tego, co uciekał w nocy pod drutami. Rano ustawili nas znowu w czwórki i dołączyli do chłopów. Złączyli rodziny i znowu do łaźni. Kąpali nas. Oddali te wszystkie rzeczy i pisali papiery do Niemiec. Trzeba było podać lata. Mój tata podał, że mam 12 lat, a ja miałam 10 lat. Dziewczyna, która tam zapisywała popatrzyła na mnie i prosiła, żeby ujął mi lata, lecz on się nie odzywał. Byłam bardzo szczupła, wyschnięta, po-

nieważ w Majdanku nie było co jeść. Gdy się cisnęli do zupy, żeby jej nie zabrakło, to ją wylali na plac. My dzieci jak kury zbieraliśmy groch polowy i łupiny z kartofli, które były w tej zupie. Nie wycierało się wtedy z piasku tylko aby więcej zbierać i zjeść. I wywieźli nas do Niemiec. Jako dwunastoletnia dziewczyna musiałam ciężko pracować. Na podwórzu była gorzelnia wódki, tata co drugi dzień odstawiał beczkami wódkę do pociągu. PGR miał bardzo dużo pola, sadził ziemniaki, buraki cukrowe, jęczmień i pędził z tego wódkę. Obie z mamą zbieraliśmy kartofle do koszyka. Nie mogłam rady dać wysypywać, bo wozy były bardzo wysokie. Na tydzień dawali 2 kila chleba na 4 osoby i dostawaliśmy pół kartki. Niemcy mieli całą, Ukraińcy też, a Polacy pół. Do tego na miesiąc kilo mąki na 4 osoby. Dobry był szef, to kartofli dał więcej. Nie daj Boże wojny, tyle strachu, tyle wszystkiego. Trzeba się modlić. Dzięki Bogu przeżyłam 85 lat.

Relacja Jana Palinki z Łukowej I



Wojenne zdjęcie komunijne Jana Palinki z siostrą, 29.06.1943 r.

Lata mego dzieciństwa nie były łatwe i na dzień dzisiejszy trudne do zrozumienia. Zacznę od chwili, którą zapamiętałam jako 4,5 - letnie dziecko. Był to początek września 1939 roku. Pamiętam, że wówczas były u nas omłoty. Gdzieś około obiadu na naszą wieś (Łukowa I) spadły niemieckie

bomby, i choć we wsi naszej nie było wojska, ani też żadnego przemysłu, byli pierwsi zabici. Tak zapamiętałam początek wojny w 1939 r., która okazała się wojną światową. W kilka dni później pamiętam straszną bitwę we wsi Podsośnina. Wieś ta została prawie całkowicie spalona. Niemcy ponieśli tu duże straty, ponieważ wpadli w zasadzkę Wojska Polskiego. Porzucili ponad 50 samochodów opancerzonych, które to później z powodu braku kierowców i paliwa polscy żołnierze spalili, aby uniemożliwić Niemcom ponowne użycie tychże aut. Pamiętam też jak ojciec dał ubranie, jakiegoś polskiemu oficerowi. Był to jak się okazało później p. J. Jaworski, prawdopodobnie z Warszawy. Byłam u rodziny i bawiliśmy się w sadku aż tu nagle usłyszeliśmy krzyk: „Stój, stój” i strzał. Później okazało się, że w tej ucieczce został zabity Pluskwa, ojciec kolegi, z którym właśnie się bawiłem, za nieoddanie końcówki kontyngentu – 2,5kg zboża. Zabił go granatowy policjant. Daty dokładnie nie pamiętam. Pod koniec zimy 1943 r. to jest 5 lutego w potyczce z Niemcami zginął mój wujek Garbacz Bronisław, który jako partyzant BCh, zgodnie z wcześniejszymi rozkazami podjął samotną walkę z wkraczającymi do wsi Niemcami. Znalezione przy nim zdjęcie nieopatrzenie zidentyfikowane przez młodego, niedoświadczonego chłopca, który musiał wskazać Niemcom dom rodzinny zabitego. Po doprowadzeniu wojska niemieckiego do miejsca zamieszkania wujka, zabrano z domu 72 - letniego dziadka Macieja (kalekę), którego w kilka dni później rozstrzelano w lesie pod Józefowem. Reszta rodziny zawczasu uciekła. W miesiąc później widziałem masakrę kilkunastu Żydów, uciekinierów z Bełżca. Jednego z nich rozstrzelano na moich oczach. W maju zaczęłam uczęszczać na lekcje katechizmu. Po prostu za namową księdza Serwińskiego zostałam dopuszczony do wcześniejszej Pierwszej Komunii Świętej. W czasie jednego ze spotkań z katechezy doszła do nas wiadomość o pacyfikacji wsi Szarajówka. Zostali tam wybici całymi rodzinami starsi i dzieci, a domostwa spalone. Przeżyli tylko ci, którzy na ten czas byli poza wsią. Komunię świętą przyjąłem 29 czerwca 1943 r. Moje przyjęcie komunijne to skórka suchego, czarnego

chlebka zjedzona pod kościołem.

No i już 3 lipca 1943 r. wieś nasza została wysiedlona. Cały dorobek rodziców został pozostawiony na zmarnowanie i cała rodzina mogła z sobą zabrać raptem 25 kg majątku, to jest ubrania i jedzenia, czyli 5 kg na osobę. Był to lipiec 1943 r. Gdzieś około godziny 11 – 12 wyruszyliśmy w podróż w nieznaną. Był duży upał, a nie było co pić. Około godziny 16 doszliśmy do dworu w Chmielku. Tu umieszczono nas w dworskich stodołach. Na drugi dzień, to jest 4 lipca zabrano nas z tej stodoły i wywieziono do Zamościa o głodzie i bez picia, gdzie około godziny 13 zamknęła się za nami brama obozu.

Pamiętam taki epizod z tego czasu. Rozdzielono nas, matki z dziećmi jedna grupa, a chłopcy powyżej lat 14-nastu z ojcami druga. Obok mnie stał z matką Stasio Stelmach, który bardzo płakał za ojcem. Podszedł do niego mundurowy i kazał mu się zamknąć, ale coś 2,5 - letnie dziecko płakało dalej. Wówczas żandarm uderzył go pięścią w twarzyczkę, a później dał mu kilka razy parasolką. Dziecko zamilkło, a my wszyscy mimo wyczerpania zamieniliśmy się w słup soli.

My byliśmy w bloku numer 7. Podłoga w tym pomieszczeniu była jak nie dla ludzi, wyścielona sianem. Spaliśmy na tej podłodze wśród wszy, pluskiew i pcheł. Ubikacja była jedna dla wszystkich. Był to wykopany dół, a po bokach były drągi, przy których się siadało i załatwiała potrzeby fizjologiczne. Spadnięcie do dołu groziło utopieniem. Na dwanaście osób dostaliśmy dwukilogramową bułkę chleba. Było śniadanie, obiad i kolacja. Na śniadanie i kolację dostawaliśmy czarną kawę, a na obiad zupę, w której poza wodą trudno było coś znaleźć. Widziałem jak ci, którzy nie mieli żadnego naczynia brali zupę czy kawę w czapki i z niej pili. Któregoś dnia zobaczyłem na polu baraku Nr 9 ks. Serwińskiego. Pokazał swoje plecy, które były całe granatowe. Co się z nim później stało nie wiem. Nie wszyscy ludzie poddali się wysiedleniu. Niektórzy uciekli do lasu, lecz tu też ich znaleziono i wystrzelano zaliczając do bandytów. Kobiety, dzieci i starcy, nie było wyjątku „Alles Banditen”. Taki był los nas Polaków.

Z Zamościa przewieziono nas do Lublina. Byliśmy kilka dni w obozie przejściowym prawdopodobnie na ulicy Okopowej. Po dwóch dniach pobytu w tym obozie przegnano nas na piechotę przez Lublin na Majdanek. Na takiej dużej hali kazano nam się rozebrać do naga. Wszyscy razem poszliśmy do łaźni. Po łaźni i dezynfekcji ubrań kazano się ubierać i odprowadzono do baraków.

Po kilku dniach załadowano nas do wagonów towarowych. Wagony były brudne, bez żadnej wygody sanitarnej. Ludzie załatwiali się wprost na podłogę wagonu. Wagony były zaryglowane, a górne okienka zamknięte i tak jechaliśmy przez trzy doby. Po trzech dobach drzwi wagonów otworzyły się. Było to na polu. Dostaliśmy jakąś zupę wprost nie do spożycia, ale coś było robić. Później jechaliśmy jeszcze jedną dobę i znowu obóz. Były to koszary

wojskowe. Tu można się było już przynajmniej dokładnie umyć. Byliśmy tu około dwóch tygodni, a później Arbajcant Rotenburg i baor. Nas zabrala p. Byrcus. Byliśmy u nich przez dwa tygodnie, wspaniali ludzie. Po dwu tygodniach zabral nas inny baor Wihelm Majer we wsi Borchel 3. Tu rodzice pracowali w gospodarce, a ja natomiast jako 8 - latek zajmowałem się wypasem owiec – stadko ok. 500 sztuk. Ciężko z tym było, ale z pomocą psa jakoś sobie radę dawałem. Gospodarstwo to znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie lotniska. Było to powodem prawie codziennym nalotów, tak, że trudno było zapomnieć o istniejącej wojnie.

Rok 1945, maj – zostaliśmy wyzwoleni, koniec wojny, ale do domu daleko. Od 2 czerwca tegoż roku pobyt w obozie zbiorczym w Lurze koło Rutenburga i wyczekiwanie na transport do domu. Życie tu było wspaniałe: szkoła, nauka, harcerstwo, wycieczki i poznawanie nowego świata. Przyznam, że mając dziesięć lat poznałem smak pospolitych dziś lodów, a kino, owszem też w tym czasie zobaczyłem, tylko nie mogłem zrozumieć co się w nim działo, bo nic nie zgadzało mi się z tytułem tego filmu. Nadchodzi listopad 1945 r. – powrót do ukochanej ojczyzny. W dniu 11 listopada jesteśmy już w swoich ścianach. Dom, obora, stodoła stały i ważne było, że choć wymagając bezwzględного remontu są własne. Pomimo, że ojciec chorował, to matka jednak z pomocą mojego chrzestnego Wojciecha Garbacza poradziła sobie z remontami i mieliśmy gdzie mieszkać. Chociaż czasem o głodzie i chłódzie, ale we własnym domu dożyłem młodzieńczych lat.



Jan Palinka z siostrami: Marysią i Hanią w Niemczech

ZDJĘCIA DZIECI ŁUKOWSKICH Z PRZYMUSOWYCH ROBÓT W NIEMCZECH



...tätig bis auf weiteres. Beruf vorbehalten

Familiennamen: Łukowski

Vor(Ruf-)name: Janina

Geburtsname bei Frauen: _____

Geboren am 1.1.35 in Łuków

männlich, weibl. weibl. ledig, verh., verw., gesch. _____

Staatsangehörigkeit: Polen (Polin)

Volkzugehörigkeit: _____

Herkunftsland (eingereist aus): Generalgouvernement

Heimatort: Łuków

Kreis: Hilgert

Wohnhaft: _____
(bei Anm. d. Betr. Sch.)

Beschäftigt als: _____

Arbeitsbuch-Nr.: A 125/2481

Arbeitsstelle: Hilgert Platz
Yarwa/Alte
Stadter 52

Trpt.-Nr.: _____ Im Inl. seit 13.7.43

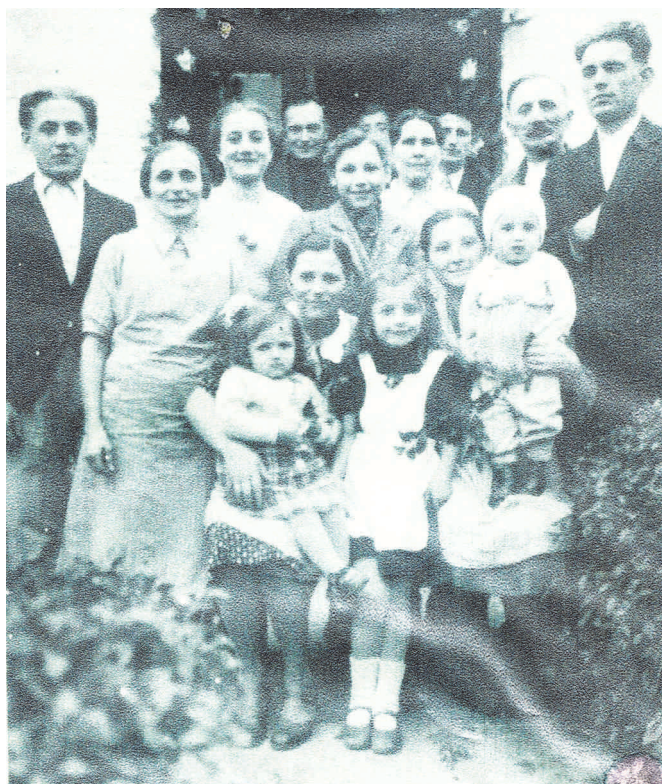
Ausgestellt am 1943

Arbeitsamt
Varwa/Alte

(Dienststempel)

* Dem vollständigem Arbeiter/Angestellten auszubildend

8 letnie dziecko posiadało własną kartę pracy



Siostry Lachowskie

Gdy do Niemiec nas zabrali rym cym cym
gdy do Niemiec nas zabrali oj dana, dana
złote góry obiecali rym cym, cym.

I do lagier nas zabrali rym cym, cym
I do lagier nas zabrali oj dana, dana
złote góry obiecali rym cym, cym.

A następnie jest kapusta rym cy, cym
A następnie jest kapusta oj dan, dana
Aż się wykrzywiają usta rym cym, cym.

W zupie kartofel surowy rym cym, cym
w zupie kartofel surowy oj dana, dana
u nas by nie jadły krowy rym cym, cym.

Na wolność, na wolność, na wolność już czas
lagry porozbijać, wypuścić już nas.

Lagry rozbili, Polki wypuścili
Polki na wolności Ojczyznę założyli.

Kupuję bilet, siadam do tramwaju
Do widzenia szwaby odjeżdżam już do kraju.

Obok tekst piosenki obozowej zapamiętanej przez siedmioletnią Stefanię Łuszczak z domu Lachowską wysiedloną w 1943 r.

Relacja Stanisława Stańskiego z Łukowej IV

Urodziłem się w 1934 roku w Łukowej. Rodzice: Lucjan i Rozalia z domu Kraczek. Jak się wojna zaczęła miałem prawie 5 lat. Chodziłem w koszuli lnianej. Raczej zawsze byłem sam, nie lubiłem towarzystwa, coś tam sobie dłubałem, podglądałem sąsiadów przez dranki i mówiłem do matki, że sąsiad okropnie przeklina. Rodzice pracowali w polu, a ja zostawałem z sąsiadem. Dużo mnie nauczył.

Parę dni przed wysiedleniem rodzice zrobili na polu schron. Często siedzieliśmy w tym schronie. Miał on kształt takiego zygzaka. Kiedyś rano tata chciał iść do Babic, mama mówiła, żeby nie szedł, bo czas niespokojny i lepiej całą rodziną być. Uparł się, że jednak pójdzie. Wziął grabie na ramię i poszedł. Na końcu pola była ławka przez rzekę Lubinie, że można było przejść. Nad rzeką były łąki, doszedł do tych łąk i zobaczył w Babicach u Kusiaka Niemców z karabinem maszynowym i patrol oglądający co się dzieje w terenie. Zobaczyli ojca, ten zaczął uciekać, ale kazali mu się zatrzymać. Złapali go i gnali dwa dni na Bełzec. Do „karniaka” do Zamościa go wzięli. I zostaliśmy sami: babcia, mama, siostra i ja. Zaraz na drugi dzień przyszedł sotłys i Niemiec i kazał wziąć 10 kilo do ręki i pod kościół. Wszystkie zwierzęta wypuściliśmy na pastwisko, na Gwoździec. Upał był niesamowity, niby lipiec, a pamiętam tak strasznie piekło słońce, duszno było. Niemcy dzielili ludzi, wybierali strażaków, bo straż zostawała. Podjeżdżały samochody i tych co najbliżej stali ładowali na samochody. Te pierwsze transporty od razu do Majdanka szły. My z mamą staliśmy na uboczu może do godziny 2. po południu. Już nie było samochodów i tych wszystkich co zostali na placu pod kościołem gnali do Chmielka. Obstawa z obu stron była. Zachód słońca był, jak doszliśmy na tą górę, gdzie teraz jest kościół. Po zachodzie słońca załadowali nas na samochody i zawieźli do Zamościa. Byliśmy tam dwa, trzy dni. Jeszcze każdy miał swojego jedzenia trochę. Ale oblaża nas taka wszawa, że ściągano się koszule, rzucano na ziemię i deptało nogami. W Zamościu byliśmy miesiąc. Zupinę dawali jakąś do jedzenia. Pamiętam na dolnej pryczy byłem to śliniłem palec i zbierałem krościnki chleba, które spadły i zjadałem. Do dzisiaj ten nawyk mam. Jak jem chleb to wszystkie okruszki muszę pobierać.

Barak 13 to był ten karny, tam dostał się ojciec. Nasz barak był blisko drutów i ten karny też. Jak tam bili tych chłopów, to później wyrzucali z baraku pod siatkę. Tam leżeli, jęczeli. Lucio Syty z tego roku co ja, wszedł po siatkę, podsadzili go i zaniósł jednemu zbitemu wody. Ten chłop przeżył, bo później obaj spotkali się po wojnie. Bili w tym karnym strasznie, jęki były okropne.

Ludzie byli przerażeni, głodni, bo dawali kawaleczek chleba jak glina. A jeszcze odbierali rodzicom dzieci. Był taki długi barak i sznur, na początku siedziała niemiecka komisja i lekarz. Wszyscy przechodzili przed komisją. Szli rzędami przed nimi. Ja byłem z babcią, ona miała 62 lata, ale mówiła, że mniej, bo dobrze wyglądała. Mówili, że starszych będą palić. Lekarz przyłożył do mojej twarzy trójkącik, popatrzył, zapytał babcię o nazwisko i jak z domu i powiedział: „Gut”

i mnie wzięli do środka. Byłem pierwszy z nowej grupy, sam, bo poprzednie grupy już gdzieś zostały zabrane. Szedłem wzdłuż tego sznura, a babcia mnie za rękę, pod tym sznurem przeciągnęła i zabrała do siebie. Niemiec nie patrzył, bo był zajęty innymi dziećmi. Tym sposobem nie zostałem niemczony.

Najpierw przewieźli nas do Majdanka, na dwa, może trzy dni. A jak nas gnali ze stacji do Majdanku to ludzie co stali z boku rzucali chlebem. Trochę tego chleba udało się złapać. Już tam dali nam nawet jakąś dobrą zupę i pęcak chyba. Mnie smakowało jedzenie, bo byłem głodny, wygłodzony w Zamościu. Dzieci, takie jak ja były z kobietami. Kazali się rozebrać, ubrania zabrali do dezynfekcji i nas do łaźni. Następnie załadowali nas w wagony i do Niemiec. Z tydzień jechaliśmy do Niemiec. Wagony bydlęce, pozamykane, duszno, gorąco, bo to sierpień, smród. Załatwiać się trzeba było we wiaderko. Jechaliśmy i jechaliśmy, aż pociąg się zatrzymał. Poprosili Niemca, aby otworzył drzwi wagonu. Miałem okropną biegunkę. Pewnie to „dobre” jedzenie z Majdanku spowodowało tą biegunkę. I tak dojechaliśmy do Frankfurtu. Tam brali do pracy rodziny z chłopami, nas nie chcieli, bo u nas babcia, mama, siostra 16 lat i ja – dziesięciolatek. Nas nikt nie chciał. Cofnęli nas do Sulichowa, przed wojną miasta niemieckiego. Ale już „ludzkim” pociągami jechaliśmy. Tam przyjechał po nas zarządca i zabrał nas do majątku. Dali nam małeńkie zapluskwione strasznie mieszkanko. Starsi Niemcy traktowali nas jako tako, ale te młodsze... Słonecznik wydarł z korzeniem i wałnął w nasze okno, rozwalił nam całe okno, taki chłopak w moim wieku. Doniosło się to do jego rodziców i gdzieś tam trochę dostał. Siedziałem zamknięty w tym mieszkanku. Kiedyś trzeba było nam wody, patrzymy Niemców nie ma, otworzyłem drzwi i poleciałem do studni, takiej dziwnej, bo się ciurkiem z niej woda lała, takim małym strumieniem. Nabrałem tej wody w jakiś garnuszek i wracam, a w drzwiach stoi mały Niemiec. I nie chce mnie przepuścić. Kolega – Rogowski Władek mówi: „A urznij go” i ja tym garnuszkiem z wodą prosto w twarz. Niemiec się przewrócił na korytarz. Po jednej stronie było ich ładne mieszkanie, a po drugiej stronie korytarza nasza norka. Jak on się przewrócił, to Władek go jeszcze kartoflami obrzucił. Po tej bójce już Niemcy nas nie zaczepiali, chodziliśmy gdzie chcieliśmy. Nawet bawiliśmy się z tymi Niemcami. Proce, łuki, szable im robiłem, bo oni sami nic nie potrafili zrobić. Czasem chleba trochę przynieśli.

Babcia, mama i siostra chodziły do roboty, a ja musiałem przynieść z lasu chrustu, kartofli naskrobać, rozpalić, ugotować codziennie na obiad i kolację. Ziemniaków nam nie brakowało. A chleba dostawałem może ze trzy deko na dzień. Mieliliśmy kartki, ale ojciec po tym „karniaku” zawieziony był daleko do Niemiec i my wysyłał mi nasze. Sami jakoś tymi kartoflami żyliśmy. W 1944 roku już trochę dogadywałem się po niemiecku. Mama wysyłała mnie do Sulichowia, oddalonego o 6 km. Zakładałem na szyję woreczek na chleb i brałem kartki na masło. Szedłem do piekarni i czekałem. Jak nikogo nie było dawałem tę kartkę na masło i prosiłem o dwa bochen-

ki chleba. Kiedyś wracałem z tego miasta, na bosaka, jechał akurat policjant z żoną. Ja miałem nakazane, żeby uciekać, ale idę. Staje koło mnie, ona zsiadła i kazała mi wsiąść na wóz. Zapytała gdzie jadę. Podwieźli mnie pod sam dom. Pytali tylko czy mam rodziców i co robię.

Później z Władkiem podawaliśmy dachówkę na nowo budowany budynek. Niemka dawała nam za to jedzenie: chleb, jajka.

Kiedyś mama nazbierała trochę kartofli, postawiła pod schodami, ktoś to zauważył i poskarżył. Niemiec – zarządca, a właściwie magazynier przyszedł powyrzucał nam te kartofle i przez dłuższy czas nam kartofli nie dawali. Mielśmy już tylko te pozbierane na kartofliskach.

Wzięli nas na pole orać wołami, bo mężczyzn nie było. My młode chłopaki nie dawaliśmy rady, przewracaliśmy się i odesłali nas. Ruski takim traktorem kolczakiem jeździł po łące, dla nas to była atrakcja, biegaliśmy tam, a on nam z Władkiem dawał jeździć, a sam leżał w trawie.

Babcia zachorowała na dur brzuszny, była w szpitalu, zaczęli mówić, że ją spalą, wtedy mama zapytała, czy ją może zabrać do domu. „Kto za to zapłaci” – pytali. „Ja” – odpowiedziała mama, bo pieniądze miała. Kupiła babci bilet i ona rok wcześniej od nas przyjechała do domu.

Na zimę przenieśliśmy się do mieszkania bliżej dworu. Tam były 2 łóżka. Na dole w tym domu mieszkał tajny policjant, spod Poznania. On prowadził zebrania i mamie opowiadał, że wszystkich robotników z majątku mieli wymordować. A syn jego 16-letni poszedł do SS. Wzięli go na front i po miesiącu zginął.

Niemcy nie wierzyli, że nas siłą z domów wyrzucili, ale syn jednej z Niemek walczył pod Zamościem. Jak przyjechał, to opowiedział co tu się działo. Wtedy zaczęli inaczej na nas patrzeć, kładli na progu pieniądze, ale nie braliśmy.

W 1944 roku na tamtych terenach zaczęli pojawiać się niemieccy żołnierze, pewnie z frontu. Dużo ich szło. A ruski samolot pojawiał się nad nimi z jednej i drugiej strony i strzelał. Obleciał, zatoczył koło i poleciał. Ja od Ukraińca Fiedii, który pracował w kuchni dostałem gramofon i płyty z niemieckimi marszami. Jak ten samolot tak latał, to u siebie na strychu puszczałem głośno te marsze.

Przez sześć tygodni jechali Niemcy wóz za wozem z dziećmi

i dobytkiem. Uciekali przed frontem, który się zbliżał, w głąb Niemiec. Dzieci były wycieńczone, marzły.

W styczniu uciekinierów było już mniej i te nasze Niemcy zaczęli wyjeżdżać. Ruskie zaraz wszystko szabrowali. Ale te nasze Niemcy wrócili, trochę była rozróża, ale na drugi dzień wyjechali i nie wracali.

Na dole mieszkał Ruski. Kiedyś zapalił światło i zaraz pojawiło się niemieckie wojsko, z lasu wyszło, co rósł niedaleko. Ubrane na białą, tylko broń było widać na tle śniegu. Myśleliśmy, że to już koniec. Pukali, on otworzył, zapytali tylko jaka to miejscowość, podziękowali i poszli dalej, na zachód. Na drugi dzień do Langmail przyszedli Ruskie, ustawili blisko działo i strzelali. Jak oni przyszedli, to zaczęli zabierać różne rzeczy. Był tam taki śliczny pałacyk, w miejscowości dzisiejszej Okunin niedaleko Poznania. Mieszkały tam same dziewczyny z Hitlerjugend. Zostało tam dużo różnych rzeczy. Nazbieraliśmy butów, ubrań dla wszystkich. Dalej był pałac zarządcy. Bardzo duży. Któregoś dnia ten zarządca powiedział mamie: „Stańska uciekaj z nami, bo my uciekamy”. Okazało się, że ten zarządca doskonale znał nasz język. Polacy klęli przy nim, różne rzeczy opowiadali, a on wszystko rozumiał. I tylko ten jeden raz powiedział po polsku. Na stołach w tym pałacu leżały mapy, bardzo dużo. Meble były piękne, pamiętam jak Ruskie wynosili na balkonik meble, ozdoby, naczynia wyrzucali i śmieli się.

Wziąłem jedną mapę zarządcy i patrzyliśmy jak jechać do domu. Cały miesiąc jechaliśmy. Jechaliśmy od Gromnicznej, od 2 lutego do 5 marca. Trochę różnych rzeczy przywieźliśmy, czego Ruskie nie zdążyli zniszczyć, bo Niemcy uciekli i zostawili wszystko. Jak jechaliśmy, to prosiliśmy o kwatery i jedzenie, o paszę dla koni. Jechaliśmy powoli. Mama, Rogowscy i siostry szły obok wozu, a my z Władkiem na wozie, bo najmłodszy. Ruski „starszyna” z frontu dał nam dokument, który mama i Rogowski wyprosił, żeby nam koni i wozu nie zabrali. Patrole jak widziały ten dokument, tylko salutowały i jechaliśmy dalej. Najpierw mieszkaliśmy w Łukowej u Macha na Rakowcu, a potem wziął nas wujek. Wujek pojechał do Rogowskich po konia i pół wozu, bo taka była umowa. Bardzo dobra była ta kobyła i łoszaka od niej odchowaliśmy wspólnie.

ca. 35 g Schuhcreme I nach Aufruf	ca. 35 g Schuhcreme II nach Aufruf	ca. 35 g Schuhcreme III nach Aufruf	ca. 35 g Schuhcreme IV nach Aufruf	September 1944 1 Stück Einheitsfeinseife	August 1944 1 Stück Einheitsfeinseife
LWA Dresden				1/2 Normalpaket September 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver	1/2 Normalpaket August 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver
Reichsseitenkarte Nr 273695 Name _____ Wohnort _____, Straße _____ Ausgabestelle _____ Ohne Namenseintragung ungültig! Nicht übertragbar! Gültig vom 1. Februar 1944 bis 30. September 1944				1/2 Normalpaket September 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver	1/2 Normalpaket August 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver
				1/2 Normalpaket September 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver	1/2 Normalpaket August 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver
				1/2 Normalpaket September 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver	1/2 Normalpaket August 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver
				1/2 Normalpaket September 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver	1/2 Normalpaket August 1944 Wasch- (Seifen-) Pulver

Niemiecka karta zaopatrzeniowa wystawiona na wysiedlonego mieszkańca Łukowej - Jana Szostaka na mydło, proszek i pastę do butów z 1944 r.

Relacja Stefanii Gaca z domu Pokarowska z Łukowej I

Wiem, że było wysiedlenie, że była partyzantka. Uciekali ludzie i do lasu i po polach się chowali. Jak nas wysiedlali, to zgonili nas na plac. Nas było sześcioro, to znaczy był ojciec, siostra Polka, brat Józef, ciocia - ojca siostra, cioteczna siostra Stefcia, no i ja. Mama przed wysiedleniem na tyfus zmarła. Siedzieliśmy trochę na placu. A później gonili nas do Chmielka, Niemcy wkoło szli. Zagnali nas do resztówki, teraz to mówią spółdzielnia. Były tam dwa takie długie pewnie chliwy, a może stodoły. Byliśmy tam w tych budynkach chyba trzy dni, może cztery. Ludzie opowiadali, że niby było takie rozporządzenie, że jak ktoś chciał, to mógł przynieść coś nam uwięzionym. I taka spod Plebani Bartkowa i Świrk przynieśli rodzinom chyba chleb. No porozmawiali, zostawili i wracali do domu, on rowerem a ona na piechotę. Gdzieś chyba koło remizy w Chmieku, spotkał ją i zabrał na rower, żeby nie szła. Niemcy wysyłali więźniów myć samochody i tak jakby dwie osoby im uciekły. Akurat wojsko niemieckie jechało z Łukowej, zobaczyli ich i kazali zawrócić i gnali tu do nas, do resztówki. Dali im szpadle, kazali wykopać dół i tam ich zabili. Dwoje im uciekło i pomyśleli, że to te same. Wojsko było wkoło budynków. Później pakowali nas na samochody jak jakie bydło. Niemiec z boku z karabinem stał. Załadowali nas na samochody i zawieźli do Majdanku. Tam byliśmy pewnie ze dwa tygodnie, może trzy, razem z Mołdami, naszą bliską rodziną. Dużo ludzi z Łukowej tam było. Pamiętam była w Majdanku taka Aniela ze Zwierzynca, to ona chyba zwariowała. Przyniosła jej Niemka kubek kawy, podała jej, a ona chlapnęła tą kawą Niemce w oczy. Niemka strasznie ją biła. Aniela bardzo krzyczała, a my dzieci patrzyliśmy na to. No i wywozili nas do Niemiec. Jak nas gnali przez Lublin do stacji, to ludzie rzucali cukierki. Łapaliśmy, co kto mógł. Czasem cukierka, czasem garść piachu. Niby krzyczeli aby z szeregu nie wychodzić, ale nie strzelali. Na stacji dali jeść, trochę chleba dali i do pociągów załadowali, takich bydłych i do Niemiec. Jak my byli w Niemczech to było nam trochę lepiej. Siostra starsza pracowała, niby była w papierach jako dziecko, ale pracowała bo chciała pracować. My, reszta dzieci siedzieliśmy w domu. Dawał nam baor kartki dziecięce. Co jakiś czas jeździło się do miasta Patendorf po jedzenie. Na te kartki był chleb, mąka, kielbasa, no wszystko tam dawali. Jak przywiozło się trzy worki, to miało nam starczyć na dwa tygodnie. Po dwu tygodniach jechało się znowu. Jedzenia my mieli, jeszcze pomagali my Polakom, którzy byli sami bez dzieci i nie mieli tyle jedzenia. W Niemczech było nam dobrze, nie to co w Majdanku. W Majdanku było strasznie, a ile ludzi zabili, ile spalili. Straszne. W niedzielę jak nie było roboty to chłopcy się schodzili do nas, w karty grali, gadali. Mówił

taki jeden Tadek z Kalisza, który znał dużo języków, że to nie długo trzaśnie, że będzie z powrotem wojna. Różnie gadali. Nasz baor sadził buraki cukrowe, takie wielkie przyzmy tam leżały, my dzieci bawiliśmy się wieczorem u tego baora. Krzyczeli my, śpiewali i usłyszeli my jakiś szum. Patrzymy a tu samoloty lecą, a dużo ich jakby wrony leciały. Na Berlin leciały. Przylecieliśmy do domu z płaczem. Baor przyszedł, kazał wyganiać wszystkie zwierzęta, a on z rodziną poszedł się do schronu schować, bo miał schron wybudowany.

Moja ciotka była wtedy w szpitalu, to opowiadała, że Niemców jak leciały samoloty to zabierali do schronów, a Polaków zostawiali na łóżkach.

My przyjechaliśmy z Niemiec trochę wcześniej, osiem miesięcy my tam byli, bo ciotka miała nogę w gipsie, pracować nie mogła i baor kazał jej do domu jechać, ale myśmy wszystkie płakali, że jak nas razem tu przywieźli to i razem do domu chcemy jechać. Baor chciał mojego tatę zostawić do roboty, a resztę do Polski wyprawić. Dostaliśmy bilet ile osób jedzie do Polski, a tacie opłacili tylko bilet do Kutna i tam kazali mu wracać. Ale jechała jakaś kobieta w nasze strony i powiedziała, że kupi ojcu bilet, bo ma marki niemieckie. I kupiła. W lutym my przyjechali. Przyjechali my tutaj. Może po dwu tygodniach przychodzi pismo z Niemiec, że ojciec ma się tam stawić. Tata uciekł, nocował u jakiejś babci, a w dzień chodził po lesie. Policja przychodziła, szukała go. Tata się nie pokazywał przez jakiś czas i tym sposobem udało mu się.

U nas w chatupie był Ukrainiec i zrobił w chatupie rzeźnię. W chliwie trzymał zwierzęta, a mieszkał u sąsiada w chatupie. Wszystko my z tej chatupy musieli wynieść. Nie mieliśmy nic, bo wszystko zabrali Ukraińcy. Garnek my pożyczali od rodziny, najpierw oni gotowali potem nasza ciotka.



Niemiecka karta żywienia wystawiona na mieszkańca Łukowej, 1943 r.

Relacja Janiny Lachowskiej z domu Kusiak z Łukowej I



Przedwojenne zdjęcie ojca Janiny,
Józefa Kusiaka



Pogrzeb rodziców dwuletniej Janiny Lachowskiej z domu Kusiak zamordowanych
przez złodziejskie bandy grasujące na terenie wsi Łukowa, 20 kwiecień 1943 r.

Tego samego roku, jak bandyci - złodzieje zabili moich rodziców było wysiedlenie. Wywieźli nas do Zwierzyńca, a potem samochodami na Majdanek. Ze mną jechała babcia, której mąż zginął przed I wojną światową w Rosji, dwie ciocie, siostry mojego taty Józefa: Aniela i Anna Kusiak, babcia Anna Kusiak i ja. Byłam małeńka, miałam dwa lata. Nic nie pamiętam, tylko z opowieści.

Opowiadali, że w obozie rzucili nam worek, niby z ubraniami, a tam same papiery były. Babcia się pozastaśniała nimi i mówi: „Co to teraz będzie, jak to się będzie chodzić”. Gdzieś później dali nam jakieś szmaty, aby można było się okryć. Nie dość, że wszędzie włosy ostrzygli, to jeszcze łachy zabrali. Wszy były straszne mimo tego strzyżenia, pchły, gnidy, wzdłuż szwów ubrania, to aż się błyśzczało tyle ich było. W nocy chyba karaluchy łaziły, nie było możliwości spać.

Opowiadali, że Niemcy dawali mleko i żupę ze zgniłych buraków i owsa. Ciocia opowiadała, że zanim zjadła żupę to dookoła tym owsem pluła. Babcia zemdliała i wrzucili ją do szopy. Na drugi dzień sąsiadka ją znalazła. Myśleliśmy, że już nie żyje. Byliśmy w Majdanku jeszcze dwa miesiące. Później zachorowałam na ospę wietrzną. Cały czas opiekowała się mną ciocia Aniela. Zabrali mnie do szpitala. Ich wywieźli do Lubartowa, tam wszyscy zachorowali na tyfus. Po tej ospie nas też zawieźli do Lubartowa. Przed Godniami Świątami wróciliśmy wszystkie cztery do domu. Na krótko

dołączył do nas stryjek. Przez to, że byłam sierotą miałam wielki żal. Dzieci przytulały się do rodziców wołali: „Mamo, tato!”, a ja nie miałam do kogo. Broń Boże nie mogę narzekać na moją ciocię, była dla mnie ideałem. Poświęciła się dla mnie, ale to nie rodzice.

1987-08-14 XXXXX
00-950 Warszawa, dnia 198 r.
P-33; Al. Ujazdowskie II

GŁÓWNA KOMISJA
BADANIA ZBRODNI HITLEROWSKICH
W POLSCE
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Odznaczona
Krzyżem Komandorskim z Gwiazdką
Orderu Odrodzenia Polski

IV/4634/392/87
L. dz. Zh.....

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce -
Instytut Pamięci Narodowej na podstawie akt przechowywanych
w tutejszym archiwum /"Z", sygn. 187, t. III, k. 456, poz. 75/
zaświadcza, że ob. Janina LACHOWSKA, c. Franciszka i Marii,
dawno małoletnia została w ramach zbrodniczej akcji
hitlerowskiej na Zamajszczyźnie w dniu 2.07.1943 r. wysiedlona
wraz z rodziną z m. Łukowa, b. pow. biłgorajski. Do dawnego
miejscza zamieszkania powróciła po zakończeniu działań wojennych. --
Innych danych brak.

ZASTĘPCA DYREKTORA
dr. Andrzej Kłopot

Relacje Marianny i Janiny z domu Mach z Łukowej II oraz Józefa Mazura z Łukowej III

Marianna Kaniuk - Nie pamiętam, czy rodzice mówili o wysiedleniu. 3 lipca nas zagnali na plac na początku Chmielka. Z tego placu wywieźli nas do Zwierzyńca. Byliśmy tam kilka dni. Wygnali nas z baraków nad szosę i mieli nas ładować na samochody, ale coś tam się stało i nas zawrócili. Dopiero

na drugi dzień nas wywieźli do Majdanka. Pamiętam, jak nas wieźli w tych wagonach, jak nas przeganił z baraku do baraku. Taki deszcz wtedy lał. Tata niósł siostrę na barana, a ja szłam po kolana w wodzie. Później nawet własnego ojca nie poznałam w Majdanku. Woła kiedyś jakiś człowiek „Maniu, Maniu, chodź do tych drutów”. Patrzę goła głowa, pasiaki „Co, nie poznałaś mnie”? Kobiety były na innym po-

lu, a mężczyźni na innym, ale obok. Nie poznałam, że to tata. Żywych ludzi rzucali do pieca, jeden za nogi, drugi za głowę i do pieca.

Nie było tam co jeść. Jak dali kaszę na Krochmalnej, to się dużo ludzi pochorowało.

Po miesiącu wywieźli nas do Niemiec, do majątku w powiecie Wismar. Rodzice pracowali w polu, a ja miałam robić obiady. Obierałam kartofle, naszykowałam coś tam na zupę i zanosiałam na kuchnię. Kucharka to gotowała. Potem nosiłam jedzenie na poddasze, gdzie mieszkaliśmy. Nieraz niemieckie dzieci mnie nabity, powylewały zupę, powywały wszystko. Rodzice przyszli z pola, a tu nie było co jeść. Płakałam bardzo, ale co było zrobić. Była też jedna Niemka, taka stara babcia, która wynosiła nam z siostrą kanapki. Trzymała za pazuchą, wołała nas, żeby nikt nie widział i ukradkiem dawała.

Kiedys poszłyśmy z siostrą do sklepu, a tam na półce takie piękne pomidory leżały, patrzyłyśmy na te pomidory i patrzyłyśmy, aż w końcu sklepowy dał nam po jednym, bo kupić nie było za co. Niemcy niby nie byli źli, ale jedzenia nie było, nie znęcali się. Jak było na polu to nie wiem. Brat doił krowy, (dwanaście krów) to nam przynosił mleko. Miał manierkę, chował to pod ubraniem i ukradkiem przynosił. Cały dzień był w tej oborze. Oprzątał, doił, karmił. Byliśmy tam krótko, bo ojciec zachorował i po pół roku wróciliśmy do Polski. Brat został się w Niemczech na dwa lata.

Jak wróciliśmy do domu to u nas była ukraińska rodzina, ale odstąpili nam dom. Nie było co jeść, nic my nie mieli, ale pozwoli jakoś się żyło. Krowę skądś rodzice wzięli. Jak była druga akcja wysiedleńcza w 1944 roku pastam wtedy krowy pod Podsośniną, a tu taka strzelanina. Ciągnę te krowy do domu, żołnierze leżą jeden obok drugiego i strzelają, i strzelają. Zaczęłam płakać. Oni jak mnie zobaczyli podnieśli się i wołali „Komm, komm”. Kazali mi iść do domu. Rodziców w domu nie było, bo się pochowali w schronie pod oknem, który był wykopany w ogródku. Dwa tygodnie my się chowaliśmy na Górnikach. Bieda była straszna. Mieszkańcy tej wioski sami nie mieli co jeść, a jeszcze nam dawali.

Janina Mazur - Pamiętam z Majdanku tylko to, jak przechodziliśmy obok drutów i przez łaźnię. Szłam obok mamy. W tę drugą akcję pamiętam, jak uciekaliśmy wozem na Górniki. A z Niemiec; kuchnię i tę kucharkę, a jeszcze te niemieckie dzieci, które nas przeganiały. Pamiętam stał taki duży worek z cukrem, to podjadałyśmy z siostrą ten cukier z worka.

Józef Mazur. - Ojciec wykopał schron za stodołą. Chowaliśmy się tam. W szkole był sztab. Jak Niemcy z niego wychodzili, to nasi strzelali do nich. Jak front się zbliżył to rzucali bomby. Huk był straszny i ponoć zabiły te bomby kilka osób. U nas był dom murowany. Sąsiadki poznosiły sobie pościel, żeby bezpieczniejsza była, bo reszta chatup to była wszystka pod strzechą. Obok domu stało działo niemieckie. Jak front przeszedł, to paśliśmy krowy, kosiliśmy łąki, żeby było na zimę. O wysiedleniu wiedzieliśmy, bo były pogłoski, że mają przyjąć osadnicy ze wschodu, bo ich synowie poszli walczyć. Wpadli Niemcy – wychodzić. To wyszliśmy. Płakałam jak się wychodziło z domu, myślałam, że się nie wróci. Nikt nie myślał o życiu, o tym, że się wróci. Każdy coś tam złapał, kawałek chleba jak miał. Kazali nam iść prosto do Chmielka. Tam podchodziły samochody i ładowali. Bałam się jak nas gnali, jak ładowali na samochody. Jedni jechali do Zwierzyńca, inni do Majdanku, nas akurat wywieźli do Zamościa. Strasznie było. Odrutowany plac, wszy, pchły, wieże i na nich strażnicy z bronią. Karny barak był – 13 i kto tam trafił, a był podejrzany o udział w partyzantce, to go wykończyli. Dzieci było dużo. Apele były co rusz. Jak ktoś umarł to trzeba było wynieść, żeby się ilość zgadzała. Zimno było, deszcz padał. Dzieci umierały z głodu, zimna, chorób. Barak na izbę chorych nie miał dachu. W lagrach bałam się apelu, po którym co rusz do innego baraku się popadło. W niektórych nie było na czym spać. Tylko takie dechy były. Rodzice starali się nas pocieszać. Co dzień ludzie umierali. Jechała fura, zbierali tych umarłych i do pieca. Po naszym wysiedleniu ludzie z Chmielka przychodzili i zajmowali się zwierzętami, tymi wypuszczonymi. Ale i zabierali z domu co chcieli.



Część wysiedlonych w 1943 r. mieszkańców Łukowej, zdjęcie na schodach przed kościołem, 2013 r.

XVII POWIATOWY KONKURS O ARMII KRAJOWEJ I BATALIONACH CHŁOPSKICH NA ZIEMI BIŁGORAJSKIEJ

7 czerwca br. w budynku Gminnego Ośrodka Kultury w Łukowej 61 uczniów reprezentujących 21 szkół powiatu biłgorajskiego, zmagало się z testem konkursowym o Armii Krajowej i Batalionach Chłopskich na naszym terenie. Gościem honorowym konkursu był p. Józef Kukułowicz ps. Sybirak z oddziału Woyny – uczestnik bitwy osuchowskiej, żołnierz Armii Krajowej. Swoją obecnością zaszczytili nas także synowie nieżyjących już uczestników bitwy pod Osuchami: p. Jerzy Blicharz – syn Franciszka Blicharza ps. Szpada oraz p. Jerzy Nizio – syn Franciszka Nizio ps. Jagoda oraz kombatan ci i regionaliści.

W przerwie konkursu uczestnicy podziwiali wystawę łukowskich XVII i XVIII wiecznych zabytków sakralnych zorganizowaną przez GOK w Łukowej. Przewodniczką po wystawie była p. adiunkt Katarzyna Warمیńska – Mazurek z Muzeum Kresów w Lubaczowie – specjalista od tkanin dawnych. Następnie wszyscy obejrzeli film „Chłopcy z lasu” poprzedzony krótkim wprowadzeniem pana Tadeusza Pisarczyka i zakończona wspomnieniami wojennymi obecnego żołnierza AK Józefa Kukulowicza.

Uczestnicy i ich opiekunowie otrzymali dyplomy, podziękowania oraz pamiątkowe monety przekazane przez Starostwo Powiatowe w Biłgoraju. Jak co roku GOK w Łukowej wydał w związku z konkursem „Zeszyt Osuchowski”, którym także obdarowano gości, uczniów i nauczycieli. Smaczną grochówkę ufundowało dla wszystkich łukowskie gimnazjum.



Drugi od lewej „Sybirak” z oddziału Woyny – uczestnik bitwy pod Osuchami



Zwycięzcami XVII Powiatowego Konkursu o Armii Krajowej i Batalionach Chłopskich na Ziemi Biłgorajskiej zostali:

w kategorii: szkoły podstawowe

I miejsce - Marcel Buczek (SP w Korczowie, nauczyciel Dorota Lisiecka)

Katarzyna Dyndał (SP w Korczowie, nauczyciel Dorota Lisiecka)

II miejsce - Piotr Łaba (SP nr 5 im. Ks. Jana Twardowskiego w Biłgoraju, nauczyciel Alina Typko)

III miejsce - Krystian Sereda (SP nr 1 im. Sługi Bożego Księdza Prymasa Stefana Kardynała Wyszyńskiego w Biłgoraju, nauczyciel Mariola Ulidowska)

w kategorii: gimnazjum

I miejsce - Agnieszka Maciocha (Gimnazjum im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Aleksandrowie, nauczyciel Anna Tarnowska)

II miejsce - Daniel Cios (Gimnazjum w Korczowie, nauczyciel Dorota Lisiecka)

III miejsce - Konrad Ostrowski (Powiatowe Gimnazjum w Biłgoraju, nauczyciel Teresa Czaporowska)

w kategorii: szkoły średnie

I miejsce - Adam Przytuła (Zespół Szkół Budowlanych i Ogólnokształcących w Biłgoraju, nauczyciel Wiesław Koziara)

II miejsce - Konrad Koman (Zespół Szkół Budowlanych i Ogólnokształcących w Biłgoraju, nauczyciel Wiesław Koziara)

III miejsce - Krystian Koman (Zespół Szkół Budowlanych i Ogólnokształcących w Biłgoraju, nauczyciel Wiesław Koziara)

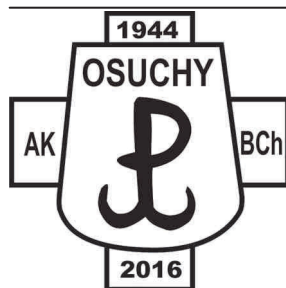
Fundatorami nagród dla zwycięzców są:

- Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku
- P. Dariusz Pawłoś - Prezes Fundacji Polsko - Niemieckie Pojednanie



Projekcja filmu „Chłopcy z lasu”

- Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie. Dyrektor Jacek Welter
- Nadleśniczy Nadleśnictwa Józefów dr Leszek Dmitroca
- Nadleśniczy Nadleśnictwa Biłgoraj Piotr Mróz
- Oddział Polskiego Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego w Biłgoraju. p. Marian Kurzyna
- Związek Inwalidów Wojennych RP Zarząd Oddziału w Biłgoraju. Prezes Jan Filist
- Ogólnopolski Związek Żołnierzy Batalionów Chłopskich. Zarząd Okręgu w Zamościu. Prezes kapit. w stanie spoczynku Edward Zubrzycki
- Ogólnopolski Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Zarząd Okręgu w Zamościu. Prezes Sławomir Zawiaślak
- Związek Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych. Koło Gminne w Łukowej. Prezes Czesław Grzyb
- Poseł na Sejm RP Piotr Olszówka
- Mieczysław Wójcik. Centrum Wikliniarstwa w Ulanowie
- Starosta Biłgorajski
- Wójt Gminy Łukowa
- Przewodniczący Rady Gminy Łukowa
- Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Łukowej
- Dyrektor Gimnazjum im. Pawła Adamca w Łukowej
- Biłgorajskie Towarzystwo Regionalne



Uroczystościom 72. rocznicy b i t w y pod Osuchami towarzyszyć będzie wystawa zabytkowych motocykli z II wojny

światowej zorganizowana przez Lubelską Grupę Weterańską „Partyzant”, pokaz działania radiostacji, obóz partyzancki, projekcja filmu „Chłopcy z lasu”, której bohaterami są uczestnicy bitwy pod Osuchami, inscenizacja historyczna przygotowana przez GRH „Wir” oraz wystawa Muzeum Ziemi Biłgorajskiej

